

K A



Y Ń

krok za krokiem
na
golgotę wschodu
gdzie
kozy wiosenny grają rapsod

Słowem wstępu

Ta mała forma beletrystyki ucznia klasy III liceum ogólnokształcącej to już leciwa, prawie dwudziestoletnia praca konkursowa, która prawdopodobnie nie opuściła biurka pewnej pseudo nauczycielki historii mgr Mrozińskiej z Inowrocławia. Nauczycielka na pewno lepiej śpiewała niż uczyła, gdyż kilka lat później osławiła się śpiewając w jednym z reality show telewizyjnych z całą swoją rodziną. A czemu o niej piszę? Otóż praca ta była związana z obchodami, zapewne pierwszymi w „wolnej” Polsce – po ugodzie „okrągłego stołu”, z okazji 60 lecia masowego morderstwa w Katyniu, Miednoje i Kozielsku na elicie polskiej w roku 1940 dokonanej przez sowietów vel rosjan. I tak samo jak to prawie 60 lat zakłamania, przemilczenia i czujnego oka cenzury w troszkę mniej „wolnej Polsce” nazywanej PRL nad zbrodnią katyńską – i ten uczeń został ocenzurowany pod czujnym okiem nauczycielki historii a jego praca została przemilczana na dnie belfrowskiej szafy...

Zamierzam umieścić w tej pracy dwie wersje. Taką jaką chciał owy uczeń i taką, którą po walce i petraktacjach przyjęła Pani Mrozińska, która i tak nie zamierzała jej wysłać na konkurs. Tak samo jak zbrodnia Katyńska miała przez 60 lat i ma nadal - tak w Rosji nadal ludzie myślą i mówią po linii sowieckiej – dwie wersje, tak samo „katastrofa smoleńska” z 2010 roku też ma dwie wersje. Nawet w Polsce ludzie przekonani, że była to również zbrodnia na elicie polskiej, mówią o tym katastrofa i pewnie długo będzie też zwrot w obiegu. Ale może za 60 lat pewien uczeń napiszę prawdę, wydobytą z rodzinnych bibliotek, natrafi na książki wydrukowane na powielaczach – tak, jak i ja miałem okazję.

Można powiedzieć, że sowietci w 1940 roku już wcześniej chcieli przypisać winę na nazistów vel niemcy i za wczasu zdobyli minimum kilkadziesiąt sztuk pistoletów Walther P38 i kilkadziesiąt tysięcy kul do tej broni – i to w realiach braków wojennych. Następnie przez pokolenia trwały przepychanki między Niemcami a Rosjanami. Na miejscu zbrodni była i międzynarodowa komisja pod przewodnictwem niemieckim, jak tereny te w 1941/42 roku były pod okupacją niemiecką – która bezprzecznie stwierdziła, że to Rosjanie dokonali tej straszliwej i cynicznej zbrodni. A następnie była międzynarodowa komisja pod przewodnictwem rosyjskim, która bezprzecznie stwierdziła, że to Niemcy dokonali tego masowego ludobójstwa. To wszystko obserwował Zachód, a szczególnie Anglia i U.S.A., w których już w 1940 roku były dowody, niezbite materiały wywiadowcze, w tym zdjęcia lotnicze, że to Sowietci dokonali tej egzekucji na ponad 30 tysiącach oficerów, podoficerów, policjantach, których następnie brakowało pod koniec wojny aby nie dopuścić, aby w przemilczeniu zachodu, dla którego polskie orężę dzielnie walczyło na wszystkich frontach II WŚ, świat oddał Polskę w kolejną długą okupację, która tak naprawdę trwa z bardzo małymi przerwami do dnia dzisiejszego... Przez lata Katyń był synonimem podziału w polskim społeczeństwie jak i światowym. Jedni twierdzili, że to Rosjanie są odpowiedzialni za to, druga strona spierała się, że to Niemcy. Potem jak kurzawa medialna opadła – kompletnie nie wypadało o tym mówić. Wiele rodzin pokłóciło się przy wigilijnych stołach, nie jeden dał sobie po pysku, a Katyń do lat 90 XX wieku w Polsce był wymawiany ostrożnie i z ciszonym głosem. A jak jest z „katastrofą smoleńską”? Czy przypadkiem nie podobnie. Zachód ma zapewne pełne archiwa jak to było, które pewnie, jak archiwa o Katyniu, które były opublikowane w pierwszej dekadzie XXI wieku przez CIA i MI, zaciekawiają nas dopiero za 100 lat, gdy już nikogo nie będzie interesowało jak było. A czy smoleńsk z 2010, to nie powtórka z Katynia

1940? Eliminacja elit, osłabienie Polski, podział wewnętrzny, narzucenie następnie władzy pro rosyjskiej i pro niemieckiej w Polsce. No i akt zemsty na ś.p. Lechu Kaczyńskim za Gruzję, jak na Trockim i jemu podobnym. I te rocznice. Tak to styl KGB/FSB, aby mordować w pewne rocznice, tak aby zostawić podpis.

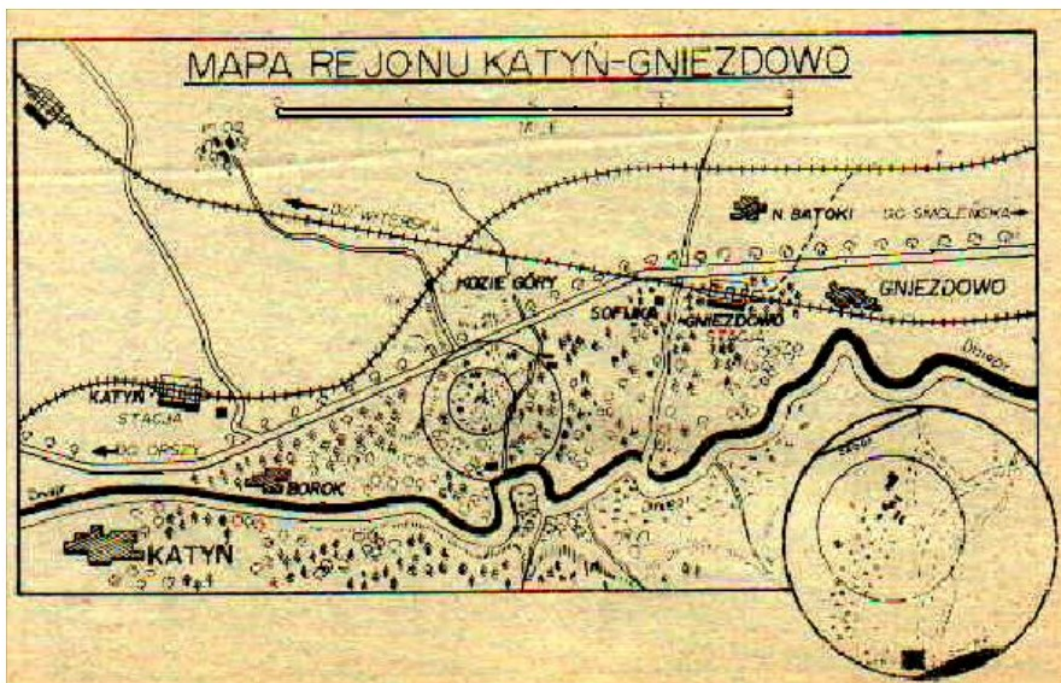
Każdy detektyw zadaje pytanie na miejscu zbrodni. Kto najwięcej zyskał na śmierci danego człowieka – to podstawa kryminalistyki... Putin kilka lat później po udaremnionej próbie zdobycia Gruzji, zdobył Krym i połowę – tą przemysłową i bogatszą Ukrainy. Partia postkomunistyczna w Polsce na czele komunisty i oficera Wywiadu Wojskowego jeszcze za czasów PRL – Bronisława Komorowskiego oraz proniemieckiego, Kaszuba z pochodzenia, czyli potomka Niemców. Tak Kaszuby przed 1939 roku należały do Niemiec. Szybko przejęli władzę, robiąc czystki i dbając o mataczenie, niedomówienia i jedyną słuszną retorykę w mediach polskich jak i zachodnich o „katastrofie smoleńskiej”. Do dzisiaj ludzie są ogłupieni przez słuszną retorykę i nie zadają pytań. Jak mała brzoza, mogła rozbić w drobne kawałeczki solidnie wykonanego, z porządnej stali - Tupolewa. Jak ciała mogły być w strzępach, jak mogła legendarna mgła o 7 rano o 9 już kompletnie w Smoleńsku zaniknąć. Jak ogromne, stalowe drzwi wejściowe do Tupolewa mogły wbić się w ziemię na głębokość prawie 2 metrów. I czemu na te rocznicowe obchody były dwie delegacje. Dla przypomnienia dzień, czy dwa dni wcześniej modlili się nad grobami polskich oficerów Władimir Putin i Donald Tusk, czy na pewno się modlili czy dopinali wszystko i kończyli to co zaczęli rok wcześniej na molo pod Grand Hotelem, gdzie długo przechadzali się zostawiając ochronę, dziennikarzy i swoich adiunktów – a co uchwyciła kamera meteorologiczna TVN, podpięta do internetu....



Następnie przez kolejne kilka miesięcy sowiecki, seryjny samobójca usuwał kolejnych świadków – np. kontrolerów z wieży na lotnisku, oficerów policji, czy zwykłych mieszkańców – naocznych świadków – tej „katastrofy”, gdzie brzoza zabiła 97 osoby, w tym wysokiego szczebla oficerów wojska, policji, ministrów Rządu, a nawet dwóch Prezydentów RP oraz Panią Prezydentową...



(...) lecz im także nie darowano. Kilku z nich, a każdy wart był tysiąca, zamordowano w Bourreaugne i wrzucono do wspólnego dołu, wielkiego jak dolina ich chwały i okrytego milczeniem bardziej jeszcze straszniejszym niż ta cisza... Zbrodnia bez kary. I pogrzeb, który zaiste przytłacza krajobraz... Jakże mógłbym o nich zapomnieć ja, którego serce pogrzebano razem z nimi..." Bourreaugne to [- - -] [Ustawa z dnia 31.07.1981r., O kontroli publikacji i widowisk, art. 2 pkt. 3 (Dz. U. Nr 20 poz. 99. Z późniejszymi zmianami)]



- Tu oni leżą – rzekł Kisielew
- Trzeba było to już dawno, a to leży jak grzech na duszy – odparł Kriwozercow



A oficjalnie lotnisko.



„Sen kłamstwa.
I pogrzeb,
Który zaiste przytłacza krajobraz”



WERSJA PIERWOTNA

Zawsze uważałem dziadka za zwyczajnego szarego Polaka, dla którego czasem można coś zrobić, ale nigdy razem z nim. Od kiedy pamiętam dziadek tylko tkwił w swym fotelu i czytał gazety. Mało tego, że był szary to jeszcze był statystyczny. Łykał wszystko co mu podała na tacy prasa. Erudycja prasowa doprowadziła, do tego, iż stracił wiarę w istnienie Boga. Jednak wydaje mi się, że Boga to on stracił już dużo wcześniej. Wnioskowałem to z jego smutnego oblicza i oczu wciąż zatopionych w przestrzeni przed nim. Można by twierdzić, że mój dziadek ma bujną fantazję, jednak to co widział zdarzyło się naprawdę. Często zrywał się w nocy i łkał jak dziecko. Nigdy nie staraliśmy się dowiedzieć przyczyn. Dziadek taki już był.

Wróciłem ze szkoły wkurzony, miałem trzy z historii i nie dlatego, że jestem taki słaby, tylko dlatego, że zawsze muszę płynąć pod prąd, że mam dużo z Wieniawy. Dziadek mnie pocieszył.

— Nie przejmuj się, w dzisiejszych czasach nauczyciel historii to sutener, a historia to k.... do wszystkiego, ale nie dziw się, bo nad nim stoi wyższy, a jeszcze wyżsi nad nimi oboma. Kiedyś jednak ukamienują cenzurę, a ustrój zaliczy odpływ.

— Zgadza się dziadku, ale czemu ja muszę przez to cierpieć.

— Ty tylko jesteś skazany na 3-kę z wiedzy o dziejach twego narodu, bo wiesz co wiedzą wszyscy, prawdziwi Polacy, a czego dla swojego dobra nie powinni wiedzieć. Inni za tę samą wiedzę zamilkli na zawsze. Ciebie na razie szacują za nisko i powinienes się cieszyć, bo jakbyś miał 5, to by znaczyło, że wierzysz we wszystko co jest w tych przekłamanym podręcznikach.

— Dziadku jednak jest świąteczko w tunelu. Z okazji 40-lecia, taka rocznica, muszą to puścić.

— A co zaszło 40 lat temu? Wtedy tak dużo się działo.

— Naprawdę dziadku nie kojarzysz? Golgota, „Golgota Wschodu”.

Fizjonomia dziadka diametralnie się zmieniła. Na smutnej twarzy spowił się jakby cień śmiercionośnej kosy. Wzrok stał się błędny. Dziadek stał się nieobecny, pochłonięty przez obrazy migawkowo pojawiające się przed oczami. I wtedy zrozumiałem, on stąpał po tej górze, pełznął po tym cienkim lodzie, oddychał tym wiosennym powietrzem. Nie to niemożliwe, stamtąd nikt., chyba, że to on, on ciągnął za spust. Nie, to absurd. Dziadek i NKWD, dobry żart. Ale Eichmann też miał rodzinę.

Chciałem wypełnić tę białą plamę w życiorysie mojego dziadka. To było dziwne, ale uzmysłowiłem sobie, że ja tego człowieka zupełnie nie znam, pomimo tego, że tak długo go poznawałem.

Dziadek doszedł do siebie po łyku „czystej ojczystej”, która potrafi rozgrzewać, ale również ziębić.

- Opowiem ci me dzieje wnuku. Ale muszę zacząć od początku, abyś lepiej zrozumiał grozę zdarzeń. Śniadanie zakłóciły dziwne zwroty dobiegające z radioodbiornika. Ja, w przeciwieństwie do swojej rodziny, wiedziałem, że to były zaszyfrowane rozkazy mobilizacyjne, chociaż oficjalnie mobilizacja nie była ogłoszona. Do południa wpatrywałem się bezproduktywnie w regał z książkami. Po południu otrzymałem kartę powołania nakazującą mi natychmiast zameldować się w moim pułku w 19 Dywizji Piechoty stacjonującej w Nowej Wilejce, do czynnej służby wojskowej. Nie byłem zdziwiony. Przebrałem się w mundur, włożyłem kilka rzeczy do walizki i pożegnałem się. Odczuwałem niepokój, a jednocześnie podniecenie. Rozpoczynałem nowy rozdział w życiu. W dowództwie pułku poinformowano mnie, że mam natychmiast objąć dowództwo kompanii gospodarczej. To oznaczało, że w polu miałem dowodzić taborem pułkowym. Po kilku dniach nadszedł rozkaz odjazdu. Pociąg ruszył na południowy wschód, zdziwiłem się, ale pomyślałem, że będziemy osłaniać wschodnią granicę. Na przystankach ludność przynosiła mleko i owoce. Entuzjazm ogarnął większość Polaków, mniejszość zdawała sobie sprawę z sytuacji politycznej i gospodarczej naszego kraju i przez to nie było im do śmiechu. Niektórzy wiedzieli, że ostatecznie nie chodzi o to, aby militarnie wygrać z Rzeszą Niemiecką, lecz aby zmanifestować wolę narodu polskiego do obrony niepodległego bytu. W Lidzie zmieniliśmy kierunek na zachodni. Całe te perturbacje kierunkowe były spowodowane zapewne mnogością transportów, które również przesuwały się na zachód. W Warszawie przekroczyliśmy Wisłę i zmieniliśmy kierunek na południowo-wschodni. Wyładunek nastąpił na jakiejś małej stacji, której już nie pamiętam. Potem był długi nocny marsz. Po wschodzie słońca dotarliśmy do Łowicza. Tam krótki biwak, poczym rozkaz dalszego marszu. Był czwartek, ostatni dzień pokoju. Na następnym noclegu zostałem wezwany do dowództwa pułku. Adiutant oświadczył mi, iż przed chwilą otrzymał telefonogram, że niemieckie kolumny pancerne przekroczyły granice państwową. Przekazał mi rozkaz dowódcy pułku, aby wszystkie wozy i konie zostały zamaskowane. Wojna stała się faktem. Przez kilka kolejnych dni odbywaliśmy nocne marsze przesuując się na południe. 4 września osiągnęliśmy lasy okalające Piotrków Trybunalski. W lasach, okalających Piotrków od południa, doszło 5 września do walki. Zdolność naszej piechoty do odparcia najazdu czołgów była żadna. Heroiczny bój, z masą poległych, zakończył się ciszą. Potężne formacje czołgowe zmiotły nasze archaiczne zapory i skierowały się na Warszawę. My mieliśmy rozkaz marszu na wschód.
- Dziadku. Ja już zasypiam, a ty jeszcze nie jesteś w niewoli. Podaruj sobie szczegóły.

— W czasie drogi nastąpiły liczne reorganizacje. W dniu 18 września osiągnęliśmy Bug na wysokości Dorohuska. Po prawej stronie Bugu, na Wołyniu coś się działo. Lecz z braku radia byliśmy odcięci od wiadomości o sytuacji ogólnej. Cały dzień zmagaliśmy się z oddziałami niemieckimi, które z nieznanym nam przyczyn, chciały przeprowić się na lewą stronę. Następnego dnia rozpoczął się dziwna cisza. Niemcy stali na przeciwnym brzegu i wpatrywali się w nas. Przed południem nasz obserwator artyleryjski zameldował nagle: „wychodzą, ktoś wychodzi z lasu, to są tłumy, idą do rzeki, są bez broni, przechodzą koło niemieckich czołgów... O cholera to są nasi!” Wkrótce pierwsi z nich stanęli przed nami. Wszyscy powtarzali jedno: „Rosja wystąpiła, bolszewicy obsadzili Mołodeczno i Łuck. Broniliśmy Włodzimierza Wołyńskiego, Niemcy porządnie dostali od nas w skórę; nie wyglądało wcale na to, aby oni mogli zdobyć Włodzimierz, aż nagle 17 września generał Sawicki, który nami dowodził, zebrał całą dywizję i oświadczył, że Rosja wystąpiła przeciwko nam i że w tych warunkach dalsza walka jest niemożliwa. Generał zapłakał i powiedział, że szeregowych zwalnia i zezwala im wrócić do domów, a oficerom rozkazuje, aby natychmiast samochodami usiłovali dotrzeć do granicy rumuńskiej”. Obawiałem się, że Niemcy wykorzystają ten rozgardiasz, aby sforsować sobie przejście, któregośmy im dnia poprzedniego nie dali. Lecz Niemcy stali ponurzy i wspaniali w swoich ogromnych hełmach. W postaciach tych można było wyczytać szacunek dla naszej tragedii. W rzeczywistości czekali na to, że złożymy broń i rozejdziemy się do „domów”. Płk Nowosielski napisał rozkaz, który został odczytany na stanowiskach wszystkich oddziałów pułków. Pułkownik oświadczył w nim, że wypadki, które zaszły we Włodzimierzu, w niczym nie zmniejszają naszych obowiązków żołnierskich. Warszawa i Lwów walczą, a naszym zadaniem jest ułatwić ich walkę zaangażowaniem sił nieprzyjaciela. Wojna nie jest bynajmniej skończona i naród polski będzie ją prowadził aż do zwycięstwa. Nie było żadnych wątpliwości, żadnych wahań u żołnierzy naszego pułku 19 DP. Ciężki moment psychologiczny został wygrany, dyscyplina nie została naruszona. Byliśmy wciąż zdolni do walki. Niektórzy z naszych żołnierzy zaczęli zamieniać się płaszczami, butami, szalikami z żołnierzami z rozpuszczonej dywizji. Nasz pułkownik zakazał tego procederu, lecz nakazał rekwirowanie rowerów. Gdy patrzyliśmy w ten żołnierski potok płynący, pułkownik szepnął: „Polska umiera”. Przez kilka następnych dni byliśmy ciągle w marszu. Niemieckie samoloty krążyły nad nami tak samo jak poprzednio, lecz nie strzelały. W zamian obsypywały nas ulotkami, o treści mniej więcej takiej: „Żołnierze, Rosja wystąpiła przeciwko Wam. Wasz Prezydent, Naczelny Wódz i Rząd uciekli do Rumunii Spełniliście dzielnie

swój obowiązek. Lecz wojna jest już skończona. Dalszy opór z Waszej strony byłby tylko bezcelowym przedłużaniem przelewu krwi. Musicie złożyć broń.” Nikt w szeregach nie nachylał się, aby podnieść ulotkę. Twarze ich były smutne, szare i zacięte. W kilka dni później uczestniczyliśmy w bitwie pod Tomaszowem Lubelskim. Zadaliśmy Niemcom straty i wzięliśmy jeńców do niewoli. Głównego priorytetu nie osiągnęliśmy, ponieważ nie udało się zdobyć Tomaszowa, jednak poważnie odrzuciliśmy nieprzyjaciela na tym odcinku. Następny rozkaz marsz na Suchowolę. Miejsce koncentracji. Po szarych drogach wiły się sznury wozów cywilnych i wojskowych. Te same wozy przed tygodniem uciekały na wschód, obecnie pod naporem nadchodzących bolszewików na zachód.

- Dziadku byliście w stanie wojny z Rosją?
- To właśnie było najgorsze po agresji, która rozpoczęła się o godzinie 3⁰⁰ w nocy z 16 na 17 września, Rząd Polski nie ogłosił żadnej deklaracji precyzującej stan prawny między ZSRR a Rzeczypospolitą. Naczelnny Wódz, marszałek Edward Rydz-Śmigły o godzinie 16⁰⁰ wydał tzw. „dyrektywę ogólną”, czyli rozkaz nie stawiania oporu Armii Czerwonej. Te decyzje wywołały w późniejszym czasie skutek tragiczny . Brak międzynarodowego uznania stanu wojny między Polską a ZSRR odebrał jeńcom polskim w Rosji tytuł jeńców wojennych. Następny rozkaz – osiągnięcie lasów znajdujących się na prawym brzegu Wieprza w okolicach Krasnobrodu. Dzień 25 września, był dniem bezustannego ogniowego kontaktu z Niemcami. W nocy wojska niemieckie wycofały się z Krasnobrodu. Dzień następny był najtrudniejszym dniem dla dowódców. Musieli zdecydować co robić dalej. Frustrujące debatowanie zakłócił pewien podporucznik artylerii, który nagle się pojawił i bez przywitania szybko oznajmił, że od wschodu idą bolszewicy i w ciągu dwóch godzin tu będą. Trzeba było natychmiast podjąć decyzje.
- I co dziadku zrobiliście? Skapitulowaliście, tak jak inni?
- Nie. Podjęliśmy próbę przejścia na południe, wykorzystując przestrzeń pomiędzy wycofującymi się niemieckimi a posuwającymi się sowieckimi oddziałami. Jednak po jakimś czasie zaczęły tworzyć się grupki żołnierzy zdecydowanych opuścić oddział. Mówili, że dalsze kontynuowanie walki to skazywanie się na niewolę, a tam szeregowiec o wiele gorzej będzie traktowany niż oficer. Młotami rozbijali zamki swoich karabinów maszynowych, a z karabinów ręcznych i pistoletów ułożono stos, który następnie podpalono.
- Czemu dziadku niszczyli tak cenną broń?
- Robiono to, bo ta broń też była cenna dla bolszewików i aby nie wpadła w ich łapy trzeba było niszczyć te nieodzowne atrybuty wojny. Najtragiczniejsze było to, że

niektórzy z żołnierzy, przeważnie mieszkańcy zachodnich części Polski, wierzyli iż Rosja to ich sojusznik i przyjaciel. Mieszkańcy kresów obdarzeni doświadczeniami rozbiorowymi, wiedzieli, że Rosja to wilk w owczej skórze. Niestety na przykład Ślązacy, nawet krótko przed wzięciem nas do niewoli, deklarowali sympatię do Rosji. To niewiedza skłoniła te garstkę do zostania na parkiecie w tym tańcu ze śmiercią. Oczywiście byli i tacy, którzy wiedząc wszystko o Sowietach brnęli dalej, ten typ ludzi nazywa się błędnymi rycerzami albo *honornyj wiarus*. Płk Nowosielski wydał rozkaz formowania kolumny marszowej. 300 osób wyruszyło mając krwiste słońce po prawej. To nie byli już waleczni rycerze, to było stado szcurów próbujących prześlizgnąć się. Nad ranem stanęliśmy w niedużej wiosce na odpoczynek. Po półtorej godzinie zalał nas potok sowieckiej kawalerii. Szeregowych zwolniono, oficerów poprowadzono do dowództwa dywizji odległej o jakieś 10 km. Po drodze zarekwirowano nam zegarki i inne wartościowe precjoza. Przed dowództwem dywizji ustawiono nas półkolem. Młody rosyjski dowództwa wyszedł do nas.

—*Dzień dobry, pany oficerzy — przywitał się salutując — Nu, Niemcy urządzili wam nastojaszczuju totalnuju wojnu.*

Następnie zaczął z uznaniem mówić o niemieckiej strategii, o nowatorskim zastosowaniu zsynchronizowanego ataku piechoty, sił pancernych i lotnictwa. Z uznaniem opowiadał o odegranej roli lotnictwa w rozbiciu polskich linii komunikacyjnych.

—*Dziś Niemcy wojnę zrobili nam, a jutro zrobią wam— odezwał się ktoś z naszego szeregu.*

—*Nu, nam nie sdielajut — odpowiedział oficer z wiarą w głosie.*

Zgłoszono odebranie nam zegarków. Sowiecki dowódca wezwał dowódcę konwoju i kazał oddać zegarki. Jeden z oficerów rosyjskich wspomniał, że dowódca konwoju za swój wybryk zostanie rozstrzelany. Następnie czekała nas długa wędrówka. Najpierw przewieźli nas do Lwowa, później patrzyliśmy jak pociąg przekracza granicę Rzeczypospolitej. Czuliśmy jakby diabeł nas ciągnął w wielką otchłań. Po dwóch dniach oczekiwania w Podwołoczyskach, przeładowano nas do rosyjskich szerokotorowych wagonów towarowych, bardzo brudnych i śmierdzących, które nawet nie nadawały się do przewozu zwierząt. Niestety dla władców wszechpotężnej Rosji to było oczywiste, że dla nas i dla wielu milionów innych te warunki wystarczają, a ponadto przyczyniają się do „reedukacji” wrogów proletariatu, dyktatora i całego społeczeństwa sowieckiego. Ślimaczym tempem dojechaliśmy do Putiwła na północnej Ukrainie. Tam w okolicznej wsi, utworzony był jeden z 138

obozów przejściowych dla oficerów polskich. Z owej wsi wysiedlono całą ludność przed naszym przybyciem. Byłem umieszczony razem z ponad stu innymi osobami w trzyizbowym domu. Było bardzo ciasno, ale już w wagonach *tiępluszkach* przyzwyczailiśmy się do tego, nieodzownego atrybutu niewoli. Leżeliśmy pokotem na gołej podłodze, nieprawdopodobnie ściśnięci. Nie było mowy o tym, aby ktoś mógł leżeć na wznak, gdy zaś ktoś chciał się przewrócić na drugi bok, musiał o tym uprzedzić sąsiadów, ponieważ ten manewr można było wykonać jedynie jako ruch wspólny. Obok mnie leżał płk Nowosielski, a nogi me opierały się o gen. Wołkowickiego. Po pewnym czasie dano nam deski i pozwolono zrobić dwa pietra prycz. Również uzyskaliśmy zezwolenie na gimnastykę poranną. Wszechobecną nudę staraliśmy się niwelować poprzez różnego rodzaju odczyty. Na przykład prof. Godłowski, członek Instytutu do Badań Mózgu przy Uniwersytecie Wileńskim wygłosił prelekcję o problemach badań mózgu. Częste wspomnienia przedwojennych losów zabijały czas. Gen. Bohaterowicz opowiadał nam jak bolszewicy znaleźli go w Druskiennikach, gdzie ten 70-letni, ale jeszcze rześki staruszek, leczył się na serce. Często późnym wieczorem na podwórzu puszczali nam filmy propagandowe. W ostatnich dniach października zakomunikowano nam, że czeka nas droga do miejscowości, gdzie będzie większa koncentracja jeńców polskich. Wkrótce też odbyło się formalne przekazanie nas przez Armie Czerwoną w ręce NKWD, poczym zarządzono wymarsz do stacji kolejowej. Zastaliśmy tam biwakujące liczne grupy oficerów z innych pobliskich „zon”. W pierwszych dniach listopada przewieziono nas do Kozielska. Trasa wiodła na północ na Briansk, następnie na wschód do rejonu Tuły. W wagonach towarowych były urządzone dwa pietra nar do spania. Pociąg zatrzymał się, była noc. Kazano nam utworzyć kolumnę i maszerować kilka kilometrów. Nadzór był dość słaby, jednak eskortujący mieli psy i to uniemożliwiało ucieczkę. Przechodziliśmy przez zupełnie uśpioną miejscowość. Buty grzęzły w nie brukowanych ulicach, które zamieniły się w nieprzejezdny szlam. Obdarte, brudne domki spozierały plugawą rzeczywistością. Obóz Kozielsk składał się z dwóch części. Klasztor, w którym podobno przez pewien czas przebywał Rasputin, składał się z kilkunastu budynków przeważnie murowanych, był otoczony murem i fosą. Drugą częścią był tzw. „skit”, były to w większości małe budynki drewniane, usytuowane w niedużym lasku. Niegdyś tam mieszkali mnisi eremici, następnie były to pomieszczenia udostępniane dla przybyłych do klasztoru pielgrzymów. Pierwszą dobę spędziłem w „skicie”. Napaliwszy uprzednio w piecu, czym się dało, wyciągnąłem się na wiązce siana i pierwszy raz od bardzo dawna byłem radosny. Następnego dnia zlikwidowano dowolne rozmieszczenie jeńców.

Klasztor zajęli ci, którzy przed wojną mieszkali na terenie okupacji niemieckiej lub na Litwie. W „skicie” zaś ci, co zamieszkiwali wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, albowiem przez władze sowieckie byli uważani za swoich obywateli. Pomiedzy klasztorem a „skitem” władze obozu postawiły szczelny kordon, tak aby dwie grupy więźniów jak najmniej się stykały. Pewne możliwości komunikacji można było uzyskać tylko przy pomocy robotników rosyjskich, pracujących w obu częściach obozu. Drugą możliwością było to, że „skitowców” czasem przyprawiano do łaźni w klasztorze. Mur okalający obóz był wysoki i na wszelki wypadek był jeszcze opasany kolczastym drutem. Na czterech rogach obozu wystawały wieże, gdzie przy karabinach maszynowych dzień i noc znajdowali się *bojcy*. Na tym nie kończyła się ochrona obozu. Między wieżami były „grzybki” dla innych wartowników, a oprócz tego przy głównej bramie stało zawsze dwóch krasnoarmiejców. Aparat „porządkowy” był tak znakomity, że uciec z takiego obozu było możliwe, niestety, tylko „przez krzyż”. Obóz w Kozielsku liczył początkowo około 5 tysięcy osób. Było pięciu generałów: gen. Dywizji Minkiewicz, generałowie brygady Bohatyrewicz, Smorawiński i Wołkowicki, kontradmirał Czernicki. Było kilkunastu oficerów dyplomowanych. Jednakże większość było oficerów zmobilizowanych w chwili wybuchu wojny. Wśród nich znalazło się 20 profesorów wyższych uczelni, ponad 300 lekarzy, kilkuset prawników, inżynierów, nauczycieli, ponad 100 literatów i dziennikarzy. Byli przedstawiciele duchowieństwa rzymskokatolickiego z kanclerzem kurii biskupiej ks. Wojtyniakiem na czele. Wśród uwięzionych była jedna kobieta i jedyna w wojsku Polskim. Była to ppor. pilot Janina Lewandowska, córka gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego, która przez cały czas przebywała w gronie pilotów. Natychmiast po rozlokowaniu w obozie rozpoczęły się prace specjalnej komisji śledczej NKWD, które każdego z jeńców wzywały (czasami wielokrotnie) na indywidualne przesłuchania. Badania były przeprowadzane w dzień, jak i w nocy, z przerwą co parę dni. W tym celu wzywano nas do „urzędu badań”, który stał obok bramy wyjściowej. Tych oficerów śledczych (w stopniach od porucznika do majora), którzy się tym zajmowali nazywaliśmy politrukami. Oficjalnie ich zadaniem była propaganda, tzn. uświadomienie jeńców co do wyższości systemu sowieckiego. Faktycznie chodziło o zorientowanie się w nastrojach jeńców oraz o badanie naszej przynależności partyjnej. Pierwszy raz badała mnie kobieta, wysoka, o czarnych oczach, kruczych włosach i potężnej posturze. Cały czas pytała mnie o moje *socjalnoje położenije* i o przynależność do organizacji. Przypuszczam, że przesłuchujący musieli składać raporty z tych rozmów i dyskusji. Na czele zespołu prowadzącego te studia stał kombryg (odpowiednik generała brygady, co w służbie

NKWD znaczyło o jeden lub dwa stopnie wyżej niż w służbie liniowej) Zarubin. Był to człowiek kulturalny, o dużej ogładzie towarzyskiej i umiejętności swobodnego prowadzenia konwersacji. Władał biegle francuskim i niemieckim, znał również trochę język angielski. Znał z autopsji niektóre kraje Zachodu. Przesłuchiwał osobiście tylko wybranych jeńców, specjalnie go interesujących z racji kwalifikacji intelektualnych lub politycznych. Ja również miałem przyjemność być przesłuchiwany przez niego. Zachwyił mnie swoimi manierami i dystynkcjami człowieka o wyższej kulturze. Zarubin w kontaktach z jeńcami zachowywał się zawsze z wyszukaną grzecznością. Dzisiaj dobrze wspominam tę perłę w tym bagnie ograniczeń umysłowych, jakimi charakteryzowali się nasi „opiekunowie”. Ślad Zarubina urywa się w marcu 1940 roku. Nikt potem go nie widział, nikt o nim nie słyszał. Może padł ofiarą „czystek” stalinowskich, jako niebezpieczny świadek „ostatecznego rozwiązania trzech obozów jenieckich”. Nie jest wykluczone, że ten człowiek przeżył do końca wojny i nie jest wykluczone, że pod innym nazwiskiem zachwycał swą ogładą AK-owców i innych patriotów w tragicznych latach 1944-1956. Postać Zarubina jak dotąd okryta jest mgiełka tajemnicy. Dzisiaj wiem, że to ten człowiek decydował o życiu i śmierci w naszym obozie. To on ustalał listy osób zabranych i wywiezionych w nieznanym kierunku. To również on w swych częstych wizytach w Moskwie wyasygnował podpis Stalina. Podpis ten był skutkiem raportów Zarubina, w których jasno wynikało, że w Kozielsku, jak i w Starobielsku i w Ostaszkowie, są sami patrioci. Rosjanie perfekcyjnie zachowywali pozory. Nad jeńcami w żaden sposób się nie znęcano, jedyną ostrzejszą karą był karcer, który przydzielano przeważnie za uprawianie jakichkolwiek praktyk religijnych. Gen. Henryk Minkiewicz jako najstarszy oficer w Kozielsku otoczył wszystkich opieką. Spokój, opanowanie, życzliwość i mądrość zyskały mu w krótkim czasie powszechną powagę. Rzadko kto sprzeciwiał się jego autorytetowi. Wolą generała było zaniechanie jakikolwiek zatargów, ponieważ sytuacja wymagała integracji. W Kozielsku była niezmiernie ożywiona działalność samokształceniowa, odczytowa, a nawet wydawnicza. Wbrew zakazom władz obozowych kwitła nauka języków, powstały komplety naukowe, a odczyty były zjawiskiem powszechnym, bywały również wieczory literackie, a nawet koncerty, gdyż jeden z więźniów zrobił sobie skrzypce. Czynnikiem, który odgrywał dużą rolę w podtrzymywaniu morale jeńców, był dziennik mówiony. Głównym redaktorem dziennika byli ppor. Leonard Korowajczyk i por. Janusz Libicki. Komenda obozu tępiła z uporem i zaciekłością te wszystkie objawy życia kulturalnego. Przez swą działalność niezrównany deklamator bodajże płk Chałaciński i prześmiewca Jim Poker przesiedzieli po 20 dni

w karcerze obozowym „za szerzenie patriotyzmu polskiego”. Jim Poker wydawał czasopismo polityczno-literackie, w którym sarkastycznie wyśmiewał słabostki obozowe. Wszelkie wspólne modlitwy były surowo zakazane, więc nabożeństwa nabierały charakteru katakumbowego. Księża odprawiali msze święte w różnych zakamarkach starych cerkwi, lub nawet gdzieś w suterenach, a potem rozdawano komunię świętą w postaci chleba pszenicznego. We wszystkich blokach był zachowany zwyczaj wieczornej modlitwy, czyli zachowanie trzyminutowej ciszy. Spowiedź odbywano przeważnie w czasie spacerów po podwórzu obozowym. W dzień wigilijny 1939 roku aresztowano i wywieziono wszystkich księży, zarówno rzymskokatolickich (ks. Wojtyniaka, ks. Nowaka, ks. Skorela, ks. Kanta), jak prawosławnych i protestanckich. Należy przypuszczać, że wszyscy zostali zamordowani, z wyjątkiem ks. Kanta, którego odseparowano, a później przewieziono do Griazowca. Motywem tej decyzji było jego gdańskie obywatelstwo, które zadecydowało, że potraktowano go jako Niemca. W Kozielsku, na skutek cudownej Opatrzności, został ks. major Ziółkowski, który w czasie wywożenia księży siedział w karcerze z powodu kary za odprawianie nabożeństwa. W czasie pospiesznego wykonywania rozkazu wywozu duchownych, władze obozowe zapomniały o nim. Fakt, że właśnie okres świąt Bożego Narodzenia wybrano na wykonanie rozkazu, miał znaczenie psychologiczne i wywołał ogólne przygnębienie. Około Bożego Narodzenia otrzymaliśmy po raz pierwszy prawo napisania do rodzin po jednym liście. Przy czym musieliśmy podawać swój adres pocztowy jako „*Dom Oddycha imieni Gorkogo*”). Ta grudniowa fala listów ujawniła społeczeństwu polskiemu fakt istnienia obozu. Możliwość ta była kontynuowana przez kilka miesięcy, ale bardzo nieregularnie. Zima roku 1939/40 była wyjątkowo surowa, ziemia w Rosji zamarzała głęboko. Jednak nieuchronnie nadchodziła wiosna, a z nią decyzje o dalszym losie więźniów. Wiele lat później ustaliłem, że w marcu 1940 roku w Krakowie i Zakopanem odbyła się jedna z ostatnich konferencji NKWD i Gestapo na wysokim szczeblu, poświęconym sprawie współdziałania w zwalczaniu polskiego ruchu oporu. Na tej konferencji Niemcy odmówili przyjęcia jeńców polskich, zamieszkujących ziemie wcielone do Rzeszy. To zapewne zadecydowało o przyśpieszeniu „rozwiązania ostatecznego”. Na początku marca kombryg Zarubin wyjechał, jego miejsce, pod koniec marca, zajął pułkownik NKWD ogromnej postury o czerwonej mięsistej twarzy. Ten pułkownik był specjalistą od brudnej roboty, który niewątpliwie był organizacyjnym oraz technicznym kierownikiem deportacji nas z Kozielska. Decyzja o powszechnym przymusowym szczepieniu przeciwko tyfusowi brzusznemu i cholercie, był dla mnie

najbardziej tajemniczy zarządzeniem władz obozowych. Jaki był sens dawać ochronne szczepienie ludziom, którym i tak pozostało zaledwie kilka tygodni życia. Jednakże te szczepienie, rzekomo ze względu na oczekującą podróż, utwierdziło nas z przekonaniu o wydaniu nas w ręce niemieckie i uspiło wszelkie pesymistyczne podejrzenia. Możliwe jest, że decyzje o szczepieniu podjęły same władze obozu, na skutek niewiedzy o dalszych naszych losach przewidzianych przez Centralę NKWD. 3 kwietnia 1940 roku obiegła obóz, przekazywana z bloku do bloku, wieść: „Bychowca wywożą”. Potem dopiero posypały się inne nazwiska — i w kilka godzin później odszedł pierwszy transport w składzie 300 ludzi. Tak rozpoczęła się likwidacja Kozielska.

Dziadek zamyślił się. Zapewne widział przed sobą twarze tych ludzi, nieświadomych swej krótkiej przyszłości. Widział te błyski w oczach, wywołanych odmianą. Widział podniecenie u tych ludzi, którzy nie wiedząc nieśli już krzyż. I kolejna łaza pocięła...

Dziadek ociężale podniósł się z fotela. Chwiejnym krokiem zbliżył się do szafki, która od kiedy pamiętam była zamknięta. Długo przewalał liczne papiery. Do fotela wrócił z czymś w ręku. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak smutnego, wyglądał tak jakby mówiąc przeżywał tę tragedię raz jeszcze.

— Inni dziadkowie dają wnukom zegarki, medaliony czy inne precjoza, a ja ci przekazuję ten ślad na piasku — mówiąc to pokazał mi skrawek zszarganego papieru. A na nim daty:

- I. 3 kwietnia – 62 osoby, m.in. Bychowiec, Niemczyński, Wojciechowski;
- II. 4 kwietnia – 302 osoby;
- III. 5 kwietnia – 280 osób, m.in. Fryga, Burdziński, Westerowski, Wołoszyn;
- IV. 7 kwietnia – 92 osoby, m.in. Minkiewicz, Smorwiński, Bohaterewicz, Stefanowski, Solski;
- V. 8 kwietnia – 277 osób, m.in. Kruk, Zalasik;
- VI. 9 kwietnia – 270 osób;
- VII. 11 kwietnia – 290 osób, m.in. Wajda, Wajs, Bogusławski, Przygodziński, Iwanuszko, Pieńkowski, Urlich, Skupień;
- VIII. 12 kwietnia – 204 osoby, m.in. Kotecki, Ochocki;
- IX. 15 kwietnia – 150 osób, m.in. Pawlikowski, Bilewski;
- X. 16 kwietnia – 420 osób, m.in. Moszczeński, Trojanowski, Znajdowski, Sołtan;
- XI. 17 kwietnia – 294 osoby, m.in. Roguszczak, Liliental, Majewski;
- XII. 19 kwietnia – 304 osoby, m.in. Józwiak, Handy, Leitgeber, Rumianko, Domania, Rzązewski;

- XIII. 20 kwietnia – 344 osoby, m.in. Kowalewicz, Prausa, Jabłoński, Morawski, Paciorkowski;
- XIV. 21 kwietnia – 240 osób, m.in. Jakubowicz, Trepia;
- XV. 22 kwietnia – 120 osób, m.in. Zięcina;
- XVI. 26 kwietnia – 100 osób;
- XVII. 27 kwietnia 200 osób;

— Dane z tej listy, którą trzymasz, są przybliżone, spisywane przeze mnie w Kozielsku po każdym transporcie. 29 kwietnia moje nazwisko znalazło się na liście, obok 300 innych osób. Po moim transporcie odeszły jeszcze 3 – 10 maja 50 osób, 11 maja 50 osób, 12 maja 90 osób. 12 maja był ostatnim, 21-wszym transportem, który opuścił Kozielsk. Listy osób do wywiezienia były przekazywane telefonicznie z Moskwy, dlatego, późniejsze twierdzenie władz rosyjskich, że nie mają żadnych list wywiezionych jest kardynalną błagą. Jeńcy pracujący w administracji obozu prowadzili „podłuch telefonów z Moskwy”, w ten sposób mogliśmy dowiedzieć się o wyjeździe nieoficjalnie i trochę wcześniej. Ludzie mający wyjechać zegnali się ze znajomymi i pakowali swe rzeczy. Większość ze względu na pogłoski, iż zostaną wydani Niemcom, skrupulatnie wyczyścili swe mundury i w całej okazałości opuszczali obóz. Każdy z opuszczających dostawał specjalne racje żywnościowe, opakowane w czysty papier. Co zwróciło uwagę jeńców, ponieważ czysty, biały papier użyty w tych celach był rzadkością w ZSRR. Każdy jeńiec z osobna dostawał wezwanie stawienia się we wskazanym miejscu. Przekazanie nowej eskortie odbywał się w sposób uroczysty. Przekazywano nie tylko osobę, lecz również jej teczkę personalną, barwy czerwonej. Nowi opiekunowie przeprowadzili bardzo szczegółową rewizję osobistą, rekwirując przede wszystkim ostre przedmioty. Bramę obozu opuszczaliśmy z nową eskortą, która składała się z grupy ludzi o bardzo brutalnym zachowaniu. Traktowali nas nie jak ludzi, tylko jak przedmiotową przesyłkę. Ludzie ci byli zawodowcami, konwój był wzorowo pilnowany. Przed wejściem do obozu czekały ciężarówki, w których się ulokowaliśmy. Przewieziono nas na stację, lecz nasz pociąg czekał na bocznicę. Tabor składał się z sześciu wagonów typu *stołypinowskiego*. Były to wagony więzienne wprowadzone jeszcze za czasów carskich. Nie miały okien w przedziałach, tylko malutki otwór pod samym sufitem. Drzwi do przedziału były zamykane tylko od zewnątrz. Przez całą długość wagonu ciągnął się korytarz, przeznaczony dla strażnika i tylko w tym korytarzu było okno. Przedziały więzienne od korytarza były oddzielone kratą. Normalna pojemność przedziału w takim wagonie, to ośmiu ludzi siedzących lub czterech leżących, jeżeli podnosiło się górną półkę. Nas ulokowano po czternastu w

każdym przedziale, ośmiu siedzących i po dwóch na podniesionej półce z każdej strony w ten sposób, że głowa jednego była tam, gdzie nogi drugiego. Prócz tego na górnych półkach pod samym sufitem, gdzie było miejsce na ręczny bagaż, umieszczono jeszcze dwóch, którzy mogli wyglądać na zewnątrz przez otwór pod sufitem. Byliśmy wiezieni dość szybko jak na rosyjską kolej, z jej hierarchią ważności. W brzasku porannym wjechaliśmy na stacje w Smoleńsku. Staliśmy na uboczu, daleko od głównego peronu. Po krótkim postoju pociąg ruszył na zachód. Po kilkunastu minutach pociąg stanął. Z zewnątrz zaczęły dochodzić odgłosy poruszania się większej liczby osób. Wieść o rozładunku niczym fala przemykała z przedział do przedziału. Mniej więcej po półgodziny do naszego wagonu wszedł pułkownik NKWD o czerwonej twarzy, który przybył do Kozielska w maju. Wywołał moje nazwisko i powiedział, że zostanę wydzielony z transportu. Rozkazał iść za nim. Byłem oszołomiony. Gdy wyszedłem z wagonu poczułem intensywną woń wiosny od okolicznych pól i lasów. Gdzieś leżał śnieg. Opodal były zabudowania stacyjne, stacja nazywała się Gniezdowo. Nie widziałem żadnych ludzi z obsługi kolei. Lokomotywa odjechała. Pułkownik zaproponował mi herbatkę. Doprowadził mnie do pierwszego wagonu, który był już pusty. Kazał mi wejść do przedziału, poczym zatrzasnął kratę. Strażnikowi kazał mi przynieść herbatkę. Po chwili strażnik przyniósł mi cały czajnik. Zjadłem śniadanie, z prowiantu otrzymanego w Kozielsku. Tajemniczy ryk motoru powtórzył się. Zaintrygowany wszedłem na najwyższą półkę w przedziale. Przez otwór pod sufitem zajrzałem na zewnątrz. Strażnik w tym samym czasie patrzył przez okno w korytarzu, które było skierowane w przeciwną stronę.

— Co dziadku ujrzałeś?

— Przed nami był równy, częściowo porośnięty trawą plac. Który zapewne był miejscem składowania materiałów drzewnych. Do placu przylegała droga idąca prostopadle do torów kolejowych, Plac był gęsto obstawiony kordonem wojsk NKWD z bagnetami na broń. Nawet na froncie, bezpośrednio po wzięciu nas do niewoli, eskorta nie nakładała bagnetów na broń. Z porannej mgiełki wyłonił się pasażerski autobus, jednakże okna jego były zasmarowane wapnem. Pojemność autobusu była około 30 osób, wejście dla pasażerów od tyłu. Autobus podjechał tyłem do sąsiedniego wagonu, tak że jeńcy mogli wchodzić bezpośrednio ze stopni wagonu, nie stąpając na ziemię. Z obydwu stron wejścia do autobusu stali żołnierze NKWD z bagnetami na broń. Po półgodzinie autobus wracał, aby zabrać następną partię. Dziwiło mnie to, czemu nie zarządzono pieszego marszu. Pośrodku placu z rękami w kieszeniach stał ów wysoki pułkownik NKWD, który mnie wydzielił z

transportu. Było jasne, że on miał nadzór nad operacją transportu i wyładunku. Opodal stało czarne auto bez okien, słynny *czornyj woron*, którym się przewozi więźniów. Po południu przyszedł do wagonu podoficer NKWD i kazał mi iść za nim. Zaprowadził mnie na środek placu, gdzie stał pułkownik, który następnie przekazał mnie kapitanowi, który stał przy czarnym aucie. Kazano mi wejść do czarnego pudła, w którym było sześć oddzielnych celek. Kapitan zajął miejsce obok szofera. Dwóch strażników zajęło miejsca na tyle pojazdu. Strażnicy mieli karabiny, lecz bez bagnetów na karabinach. Niewątpliwie w tym, że w pewnych wypadkach wkładano bagnet, a w innych zdejmowano, była jakaś symbolika, której jednak w tamtej chwili nie mogłem odgadnąć. Po zamknięciu drzwi zapanowała absolutna ciemność. Po chwili auto ruszyło. Przeżegnałem się, myślałem, że jadę na śmierć. Dziś już wiem, że się oddalałem. Mniej więcej po półgodzinie samochód stanął. Otworzono drzwi mojej celki i kazano mi wyjść. Znalazłem się na obszernym podwórzu, ze wszystkich stron otoczony murami. Umieszczono mnie w pustej celi przeznaczonej dla 30 osób. Byłem jedynym więźniem w całym więzieniu. Cisza przenikała ten przybytek, od czasu do czasu słychać były kroki strażnika, który przynosił mi posiłki. Wylegiwałem się na materacu, obwiniętym białym prześcieradłem, czytając otrzymane książki. Po sześciu dniach przewieziono mnie do obozu Pawliszczew Bor. Spotkałem tam znajomych z Kozielska, było ich tam około 150 osób. Było również 63 jeńców ze Starobielska, obozu we wschodniej Ukrainie, położonego na południowy wschód od Charkowa. Obóz mieścił się również w zabudowaniach poklasztornych. Trafili tam m.in. wszyscy oficerowie z rejonu obrony Lwowa, uwięzieni mimo zapewnienia w układzie kapitulacyjnym, że zostaną zwolnieni bez żadnych utrudnień. W Starobielsku uwięziono około 20 profesorów wyższych uczelni, około 400 lekarzy, kilkuset prawników, kilkuset inżynierów, około 100 nauczycieli, około 600 lotników, kilkudziesięciu literatów i dziennikarzy. Ogólna liczba jeńców wynosiła około 3920. To wszystko opowiedzieli nam jeńcy, którzy poprzednio byli uwięzieni w Starobielsku, i dnia 25 kwietnia zostali w ostatniej chwili wyłączeni z grupy 200 osobowej. Jest również 60 osób z obozu w Ostaszkowie, którzy opuścili swój obóz 29 kwietnia. Obóz ten położony był na północny zachód od Kalinina, również w dawnych zabudowaniach klasztornych na wyspie jeziora Seliger. Trafili tam około 400 oficerów WP, wszyscy więźni do niewoli żołnierze KOP, żandarmeria wojskowa, członkowie wojskowej służby sądowniczej, kilkudziesięciu księży, kilka tysięcy policjantów, pochodzących z większości z zachodnich województw Polski, kilkuset podoficerów służby liniowej oraz pewna liczba ziemian, wywieziona ze wschodnich województw

Rzeczypospolitej. 13 maja przywożą około 95 osób z Kozielska, a 14 maja 16 osób ze Starobielska, byli to ostatni więźniowie tych obozów. W dniu następnym przywieziono 45 osób z Ostaszkowa. 18 maja przyszedł ostatni transport, byli to jeńcy ze Ostaszkowa, w liczbie 19 osób. W sumie zostało przywiezionych 448 osób. W czerwcu wywożą nas do obozu w Griazowcu, który mieści się w klasztorze otoczonym potężnymi murami mającymi zębate wieże po rogach. Okna zabudowań klasztornych są zakratowane lub zabite deskami. Dookoła druty kolczaste i kilkunastu enkawudzystów na murach. Na miejscu spotykamy uwięzionych cywilów. W obozie przebywał gen. Wołkowicki, który był naszym autorytetem, do którego jeńcy zwracali się ze swoimi problemami. Również byli tam płk dypl. Grobicki, płk prof. Szarecki, płk Sienicki, ppłk Berling, płk Bukojemski, mjr Kantat. Krótco przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej do obozu przywożą grupę jeńców litewskich. Życie w obozie było ustabilizowane. Strażnicy nas nie prześladowali, profesorowie na życzenie współwięźniów prowadzili liczne wykłady. Dostawaliśmy 3 posiłki dziennie. Często jeździliśmy na wyrąb lasu. Wśród nas była obsługa piekarni i łaźni. Był urządzony *krasnij ugołok* (czerwona świetlica), gdzie były gazety rosyjskie i polskie gadzinówki. Były odprawiane konspiracyjne Msze Święte, przez kapelana wojskowego, majora Kamila Kantaka. Był również ks. Peszkowski, ale już nie pamiętam skąd on się wziął. W Boże Narodzenie 1940 została odprawiona pasterka, na której znaleźli się wszyscy. Uroczystość była znakomicie zorganizowana. Dla każdego był przygotowany gwiazdkowy prezent. Prezenty były najrozmaitsze i czasami bardzo zmyślne. Choinkowe drzewo było ubrane w papierowe ozdoby. Długi stół był nakryty białym materiałem. I nawet był tort zrobiony z białego i czarnego chleba. Gdy enkawudzista to zobaczył wrzasnął: „*Szto eto takoje?*”, po chwili milczenia przetarł oczy i powiedział: „*A czort z wami, job wasza mat*”. Mieliśmy wina ze sfermentowanej jarzębiny z cukrem. Opłatki były dziełem obozowej piekarni. O wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej dowiedzieliśmy się z gazet rosyjskich. W późniejszym okresie zjawił się wyższy oficer NKWD i zakomunikował, że następnego dnia przyjeżdżają nasi oficerowie z naszego dowództwa. Następnego dnia zjawił się polski generał, jak dla nas dość dziwnie i śmiesznie ubrany. Czapka generalska, mundur, bryczesy jaśniejsze, sznurowane, długie buty i kijaszek w ręku. Był to szef polskiej misji wojskowej gen. Szyszko-Bohusz. Drugim generałem o lasce i skromniejszym wyglądzie, ze znakami więziennych przeżyć był Władysław Anders. Odczytano nam rozkaz dzienny nr 1, informujący, iż z dniem dzisiejszym nasz, były obóz jeniecki zostaje przemianowany na pierwszy obóz wojska polskiego na terytorium ZSRR. Komendantem obozu

zostaje gen. bryg. Wołkowicki, szefem sztabu i zastępcą komendanta płk dypl. Grobicki. Staliśmy się więc wojskiem ze wszystkimi tego konsekwencjami. Broń przejęliśmy od NKWD, które opuściło obóz. Otrzymaliśmy racje żywnościowe przysługujące żołnierzom radzieckim. Nie będę dalej zajmować się moimi losami, gdyż są one zbyt błahe w porównaniu z wydarzeniami, które rozgrywały się gdzie indziej. Ważne jest, że od tego pamiętnego dnia nie byłem już jeńcem, tylko ponownie żołnierzem. Również z zawiei wojennej udało mi się ująć z życiem. Dlatego nie będę ci tego wszystkiego opowiadał. Opowiem ci jednak o walce przedstawicieli polskich w celu wyjaśnienia miejsca pobytu pozostałych jeńców Katyńskich (w liczbie około 4250) i nie tylko. Postaram ci streścić informacje, które udało mi się uzyskać po wojnie. 22 czerwca 1941 wojska niemieckie zdradziecko uderzyły na ZSRR łamiąc układ sojuszniczy, ale ty pewnie to wiesz. 30 lipca gen. Sikorski podpisał z ambasadorem Majskim układ o współpracy, „unieważniający” postanowienia traktatu Ribbentrop-Mołotow oraz przyznający Polakom w ZSRR „amnestię”. Następnie zawarto układ o tworzeniu w Rosji armii polskiej. 4 sierpnia gen. Władysław Anders uwolniony został z więzienia na Łubiance i rozpoczął prace organizacyjne, zmierzające do skupienia w ośrodkach armii polskiej wszystkich uwięzionych w ZSRR oficerów i żołnierzy. Do armii gen. Andersa, przy ogromnych utrudnieniach i szykanach zaczęli się zgłaszać Polacy z najróżniejszych terenów ZSRR. 29 sierpnia gen. Anders odbył lot z Moskwy do Wołogdy, skąd na drugi dzień przybył do naszego obozu w Griazowcu. W tym dniu my, jak już ci opowiadałem, również staliśmy się członkami tej armii. Były więzień Starobielska, Józef Czapski, otrzymał zadanie zorganizowania biura opieki nad przybywającymi do armii. Jednakże do służby nie zgłosił się nikt z wywiezionych w 83 transportach z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Sporządzono z relacji ocalonych listę ponad 4 tys. nazwisk oficerów polskich „zaginionych w Rosji” i przedstawiono ją władzom ZSRR. Przez cały 1941 i 1942 odpowiedzi nie udzielono. Korespondencja z jeńcami urwała się nagle w kwietniu 1940. Do rodzin w Polsce przychodziły tylko listy od jeńców osadzonych w obozie w Griazowcu. Listy kierowane do Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa po maju 1940 wracały do nadawcy z napisem: „przerwanie doręczania,..”. Gdy rodziny zrozpaczone brakiem wiadomości od swoich bliskich, pisały bezpośrednio do władz sowieckich, odpowiadały im one, że jeńcy wysłani zostali w nieznanym kierunku. Wysoko postawieni dygnitarze ZSRR, między innymi Mołotow, w swych wypowiedziach podkreślali, iż na skutek trudności transportowych i administracyjnych, brakujące osoby pozostali w swych dotychczasowych miejscach zamieszkania. Zaczęto przypuszczać, iż jeńcy polscy są

trzymani w obozach gdzieś na dalekiej północy, skąd miejscowe władze nie chcą ich zwolnić jako użyteczną siłę roboczą. Poczęły się rozchodzić dziwaczne pogłoski o pobycie oficerów na Kołymie czy nawet na Ziemi Franciszka Józefa. Jesienią 1941 roku władze radzieckie twierdziły uparcie, że wszystkich jeńców polskich już zwolniono i w żadnych obozach ich nie ma. W środowiskach polskich w Rosji zaczęły krążyć plotki o masowej zagładzie, w wersjach często umyślnie zniekształconych przez czynniki radzieckie. Opowiadano o jakiejś znacznej liczbie oficerów polskich zatopionych rzekomo na starych statkach na Morzu Białym czy Oceanie Lodowatym, co potem zaczęto wiązać z jeńcami w Ostaszkowie. Łudzono się nadal, że część zaginionych się odnajdzie. 4 listopada 1941 roku gen Anders wystosował pismo do władz naczelných NKWD z prośbą o poszukiwanie zaginionych polskich jeńców, określając liczbę brakujących oficerów na 8722. Zaznaczył przy tym, że jest to lista niepełna i uzupełnienia nadal trwają. Na to pismo Dowództwo Sił Zbrojnych nigdy nie otrzymało odpowiedzi. Ustalona w końcu liczba zaginionych wyniosła około 15 tysięcy, w tym 8300 oficerów. Było to więcej niż liczyły w sumie 3 obozy jenieckie, gdyż liczono również jeńców trzymany w zwykłych łagrach lub więzieniach rozsianych po całym ZSRR. Wciąż wierzono, że władze stalinowskie mają jakiś ukryty cel w przetrzymywaniu jeńców. Niepowodzenia w poszukiwaniu zaginionych, trudności stwarzane polskim władzom cywilnym i wojskowym przez administrację stalinowską mogły zostać skutecznie rozwiązane tylko na najwyższym szczeblu. 3 grudnia 1941 roku generał Sikorski i Anders udali się do Moskwy. Przy sobie posiadali „Notatkę w sprawie internowanych żołnierzy W. P. z obozów w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie”, przygotowaną dnia 1 grudnia. Notatka zawierała treść podającą, iż ponad 95% wszystkich żołnierzy z 3 obozów gdzieś wywieziono i wszelki ślad po nich zaginął. Rozmowa ze Stalinem i Mołotowem odbyła się na Kremlu 3 grudnia 1941 roku. Cała rozmowa została udokumentowana. Na początku Stalin, oświadczył, że w myśl amnestii wszyscy Polacy zostali zwolnieni. Anders odpowiedział, że są setki, a nawet tysiące uwięzione, gdyż komendanci poszczególnych obozów mają obowiązek wykonania planu produkcyjnego, w związku z czym nie chcą pozbywać się najlepszego materiału roboczego. Mołotow słysząc uśmiechnął się. Sikorski stwierdził, że zostały przeszukane wszystkie obozy jenieckie na terenie Niemiec i nie znaleziono tam żadnego z poszukiwanych osób. Kraj również został przeszukany z tym samym rezultatem. Więc ci ludzie muszą znajdować się w ZSRR. Na te zarzuty padło słynne sformułowanie.

Stalin: — „To niemożliwe. Oni uciekli.

Anders: — Dokąd że mogli uciec?

Stalin: — No, do Mandżurii.

Anders: — To jest niemożliwe, żeby mogli wszyscy uciec...Większą część oficerów, wymienionych w tym spisie znam osobiście. Są wśród nich moi oficerowie sztabu i dowódcy. Ludzie ci mrą i giną w straszliwych warunkach.

Stalin: — Na pewno zwolniono ich, tylko jeszcze nie przybyli. Wiedźcie, że rząd radziecki nie ma najmniejszych powodów, żeby zatrzymać choćby jednego Polaka. ”

Te rozmowę znam na pamięć, uwidacznia zakłamanie i nieustanną grę w kotka i myszki. Wkrótce Stalin zaczął rozumieć, że cała sprawa może wyjść w końcu na światło dzienne. Dnia 18 marca 1942 roku gen. Anders i płk Leopold Okulicki ponownie dopytywali się Stalina o los zaginionych oficerów. Wtedy dyktator ZSRR wybąknął: „Może znajdują się w obozach na terenach zajętych przez Niemcy”. I nic więcej nie dodał. W dalszej rozmowie wrócił do swojej dawnej tezy: „Wszyscy zostali zwolnieni”. Rozmowy przeciągały się, strona polska wciąż wierzyła, iż pewnego dnia ci ludzie wrócą. Wymijające odpowiedzi władz radzieckich powtarzały się w nieskończoność. Po trzech długich latach dochodzenia sprawa zaginionych osiągnęła punkt kulminacyjny, niestety wieść ta była dramatyczna. Pod koniec sierpnia 1941 roku niemiecka jednostka łączności należąca do Grupy Armii „Środek” zajęła dom NKWD, pod Smoleńskiem, nieopodal małej miejscowości o nazwie Katyń. Lasy wokół Katynia należały przed rewolucją 1917 roku do dwóch rodzin: Lednickich i Koźlińskich. Po rewolucji tereny te przejęło GPU, późniejsze NKWD. Jak twierdzili okoliczni mieszkańcy, już w roku 1918 dokonywano na tych terenach masowych egzekucji. W roku 1931 teren specjalnie wydzielono i ogrodzono, surowo zabraniając nań wstępu osobom postronnym. Zapewne wtedy wzniesiono w lesie obszerny dom „wypoczynkowy”, dostępny tylko dla NKWD. Jednostka ta nosiła oficjalną nazwę 537. Pułk łączności. Jego zadanie polegało na utworzeniu sieci łączności pomiędzy pięcioma, a niekiedy sześcioma armiami niemieckimi rozrzuconymi na zdewastowanych terenach Ukrainy i Rosji wschodniej. Latem 1942 roku Polacy przymusowo pracujący w niemieckiej Organizacji Todta przy budowie obiektów wojskowych, zostali zaczepieni przez okolicznego mieszkańca, który powiedział: „W tym lesie leżą wasi”. W październiku 1942 roku polscy kolejarze, pracujący w okolicach Smoleńska, odkopali kilka ciał w polskich mundurach, po czym przysypali je ziemią i postawili brzożowe krzyże. Nadeszła zima 1942/43, a wraz z nią przerwa w możliwościach poszukiwań. Władze niemieckie w Smoleńsku, powiadomione o znalezieniu w lasach Katyńskich jakichś

grobów, nie okazały początkowo tą sprawą żadnego zainteresowania. Musiało minąć trochę czasu, podczas których władze niemieckie trawiły wieść odkrycia cmentarzyska polskich oficerów, aby w końcu wykorzystać ją do celów propagandy. Na przełomie marca i kwietnia 1943 zaczęto poważniejsze przeszukiwania miejsca o mianie *Kosogory*, czyli Kozie Góry (miejsce straceń w lasu Katyńskim). W pierwszych dniach kwietnia zaczęła pracę niemiecka grupa ekshumacyjna, na której czele stał prof. Dr Gerhardt Buhtz, specjalistą z dziedziny medycyny sądowej. Na podstawie wstępnych badań 13 kwietnia 1943 roku o godz. 15.15 czasu środkowoeuropejskiego radio w Berlinie nadało komunikat.

Dziadek raz jeszcze podszedł do szafy i wyciągnął plik kartek. Szedł bardzo wolno, niemal potykając się o własne nogi. Z minuty na minutę życie z niego odpływało. Drżącą ręką podał mi pewien dokument. Był to owy komunikat.

„Ze Smoleńska donoszą, że miejscowa ludność wskazała władzom niemieckim miejsce tajnych egzekucji masowych, wykonywanych przez bolszewików i gdzie GPU wymordowało 10.000 polskich oficerów. Władze niemieckie udały się do miejscowości Kosogory będącej sowieckim uzdrowiskiem, położonym o 16 km na zachód od Smoleńska, gdzie dokonały strasznego odkrycia. Znalazły dół mający 28 metrów długości i 16 metrów szerokości, w którym znajdowały się ułożone w 12 warstwach trupy oficerów polskich w liczbie 3.000. Byli oni w pełnych mundurach wojskowych, częściowo powiązani i wszyscy mieli rany od strzałów rewolwerowych w tyle głowy. Identyfikowanie trupów nie będzie sprawiało trudności, gdyż są one w stanie mumifikacji z powodu właściwości gruntu i ponieważ bolszewicy pozostawili przy ich ciałach papiery osobiste. Już dziś ustalono, że wśród zamordowanych znajduje się m.in. gen. Smorawiński z Lublina. Oficerowie znajdowali się początkowo w Kozielsku pod Orłem, skąd w lutym i marcu 1940 r. sprowadzeni zostali z bydłowych wagonach do Smoleńska, a stamtąd ciężarówkami zawiezieni do Kosogor, gdzie bolszewicy ich wszystkich wymordowali. Poszukiwania i odkrycia nowych dołów są w toku. Pod już wykopanymi warstwami znajdują się nowe warstwy. Ogólna ilość zamordowanych oficerów obliczana jest na 10.000, co odpowiadałoby mniej więcej całości korpusu oficerskiego polskiego, wziętego przez bolszewików do niewoli. (...)”

— Wiadomość podana przez niemieckie radio wywołała ogromne poruszenie w emigracji polskiej i wśród jeńców polskich w niemieckich oflagach. Większość nie wierzyła w możliwość popełnienia takiej zbrodni i raczej była przekonana, że to mowy chwyt propagandy niemieckiej, zmierzającej do pozyskania sobie Polaków. Jednocześnie chciano wierzyć w taką wersję, ponieważ niosła nikłą szansę, że nikt nie zginął, a wszystko jest sfingowane. Zaczęto snuć najrozmaitsze domysły, w jaki sposób Niemcy mogli spreparować tego rodzaju zbiorowy mord. Dla tych ludzi nie znających tematu w pierwszej chwili wydało się, że Niemcy poubierali zwłoki zmarłych w obozach koncentracyjnych osób cywilnych w mundury polskich oficerów, następnie przewieźli je do Katynia i zakopali w miejscu, gdzie w latach 1920/21 i 1937/38 bolszewicy dokonywali egzekucji. 4 kwietnia „Nowy Kurier Warszawski” powiadomił o odkryciu grobów w Katyniu, obszernie wyjaśniając sprawę 15 kwietnia. W ciągu następnych dni sukcesywnie ukazywały się listy zidentyfikowanych zwłok. Bardzo wiele polskich rodzin w informację niemiecką nie uwierzyło, ponieważ rozchodziły się pogłoski – nie wiadomo przez kogo kolportowane, a bynajmniej nie dementowane przez Departament Informacji i Prasy Delegatury Rządu – że Niemcy zdobyli w Rosji znaczną ilość dokumentów polskich jeńców wojennych, a połączywszy je z jakimiś zwłokami usiłują stworzyć pozory wymordowania oficerów przez NKWD. Niedowierzenie wzmogło się po 19 kwietniu, kiedy to doszło do walki zbrojnej podjętej przez bojowców Żydowskiej Organizacji Bojowej i Żydowskiej Związku Wojskowego przeciw wkraczającym do getta oddziałom niemieckim w celu jego ostatecznej likwidacji. Nam czyli członkom Armii Polskiej na Wschodzie nagle otworzyły się oczy. Na początku było niedowierzenie, aby ustąpić wzburzeniu, później wielka gorycz, aby w końcu uzmysłwić sobie nasze ogromne zaślepienie. Stawały jak żywe obrazy wojny i życia obozowego. Dopiero teraz dotarły do nas zwroty sowieckich strażników, wcześniej niezrozumiałe. Podejrzane postępowania znalazły teraz uzasadnienie. 15 kwietnia rząd RP w Londynie postanowił zwrócić się z prośbą o zbadanie całej sprawy do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie. Niestety decyzja została wprowadzona w życie dopiero po 48 godzin, dnia 17 kwietnia 1943 roku, kiedy to przedstawiciel Polski w Genewie przedstawił prośbę swego rządu przedstawicielom MCK. Okazała się wówczas, że Niemcy byli sprawniejsi, gdyż już 16 kwietnia zaprosili MCK do wysłania komisji na teren zbrodni. 20 kwietnia rząd RP wystosował notę do rządu ZSRR, prosząc o zajęcie stanowiska w tej sprawie i udzielenie wszystkich możliwych wyjaśnień. Na tę notę Moskwa nie udzieliła

żadnej odpowiedzi. 21 kwietnia rząd radziecki oskarżył polskie władze emigracyjne o współpracę z Hitlerem przeciwko Sprzymierzonym.

— Dziadku te ruskie to... normalnie brak mi słów.

— To dopiero preludium. 26 kwietnia rząd ZSRR zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem RP na emigracji, motywując to współpracą Polski z hitlerowską Rzeszą.

Dziadek podał mi następną kartkę.

— Trzeba też wspomnieć o wersji rosyjskiej Zbrodni Katyńskiej, która jako riposty na zarzuty niemieckie, była podana w radiu moskiewskim w dniu 15 kwietnia 1943.

„(...) W ciągu ubiegłych dwóch, trzech dni, oszczercy Goebbelsa rozpowszechniali podłe wymysły, utrzymując, iż władze sowieckie dokonały masowego rozstrzelania polskich oficerów, wiosną 1940 roku w okolicy Smoleńska. Wynajdując tę potworność, szubrawcy niemiecko-faszystowscy nie wahają się przed najbardziej bezwstydnymi i nikczemnymi kłamstwami, starając się pokryć zbrodnie, które – jak to obecnie stało się oczywiście – dokonane były przez nich samych.

Niemiecko-faszystowskie doniesienia, w tej sprawie nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do tragicznego losu byłych polskich jeńców wojennych, którzy byli zatrudnieni na robotach budowlanych w 1941 roku w okolicach na zachód od Smoleńska, wpadli w ręce oprawców niemiecko-faszystowskich w lecie 1941 roku, po wycofaniu się wojsk sowieckich z okręgu Smoleńska.

W swych nieudolnie skleconych wymysłach, dotyczących licznych grobów, które Niemcy mieli rzekomo odkryć w pobliżu Smoleńska, kłamcy hitlerowcy wspominają o wsi Gniezdowaja dokonano wykopalisk archeologicznych historycznego „cmentarzyska Gniezdowaja”. (...)

— Jak widzisz sytuacja dla Polaków, mało obeznanych z kulisami całej sprawy, była niesprecyzowana i nawet niektórzy wysłannicy lecący do Katynia byli przekonani o winie Niemców.

— Czy Polacy pojechali na miejsce ekshumacji?

— Tak już 10 kwietnia, czyli trzy dni przed oficjalną wiadomością radia niemieckiego, odleciała pierwsza wyprawa. Ta ekspedycja, zorganizowana przez Niemców, złożona była z kilku Polaków z Warszawy i Krakowa. Wśród nich byli lekarze, dziennikarz, fotoreporterka, a nawet robotnik. Wizyta ta była pobieżna. Niemcy w ten sposób chcieli uzyskać wiarygodnych naocznych świadków, badanych przez siebie miejsc. Jednak w kilka dni po pierwszej delegacji na miejsce ekshumacji udała się druga o charakterze technicznym. Wzięli w niej udział przedstawiciele

PCK oraz lekarze z Warszawy: K.J. Skarżyński, L. Rojkiewicz, J. Wodzinowski, dr med. H. Bartoszewski, S. Kołodziejski, Z. Bohowski, R. Banach, oraz z Krakowa: dr med. A. Szebesta, dr med. T. Susz-Pragłowski, dr S. Klapert. Ponadto jako obserwatorzy: ks. S. Jasiński i red. M. Martens. Część tej grupy pozostała, by uczestniczyć w dalszej ekshumacji zwłok, rozpoznawaniu oraz grzebaniu. 17 kwietnia 1943 Komisja Techniczna PCK rozpoczęła pracę. W tym dniu przyjechała delegacja polska, składająca się z oficerów-jeńców przywiezionych z oflagów. Mianowicie byli to ppłk S. Mossor, kpt. Cylkowski, ppor. S. Gostkowski, kpt. E. Kleban, ppor. Z. Rowiński, kpt. K. Adamski. 19 stycznia na miejsce prac przyjechali kolejni członkowie Komisji PCK: H. Kassur, G. Jaworowski, A. Godzik, oraz delegacja zagraniczna, w skład której wchodził: Szwed, Finlandczyk, Hiszpan, Belg, Flamandczyk, Włoch, Czech, emigrant rosyjski z Berlina oraz prof. L. Kozłowski, były premier RP i trzech urzędników z Propagandy z Berlina. Po 19 kwietnia przewodnictwo Komisji Technicznej PCK objął Hugon Kassur. Ze względu na brak środków technicznych członkowie komisji musieli spać w baraku we wsi Katyń, a od 20 maja do 7 czerwca w lokalu szkoły wiejskiej. Prace komisji często zakłócały wizyty niemieckich wycieczek, a w dniach 28-30 kwietnia 1943 roku pracowała międzynarodowa komisja specjalistów. Międzynarodowy Czerwony Krzyż odrzucił prośbę (polską i niemiecką) o wysłanie do Katynia komisji międzynarodowej, motywując to sprzeciwem ZSRR, Niemcy sami zorganizowali komisję. W skład niej weszli specjaliści z Belgii (dr Speleers), Bułgarii (doc. Markow), Czech (prof. Hajek), Danii (dr Tramsen), Finlandii (prof. Saxen), Francji (dr Costedoat), Krocacji (prof. Miłosławicz), Rumuni (dr Birkle), Holandii (prof. De Burlet), Szwajcarii (prof. Naville), Słowacji (prof. Šubik), Węgier (prof. Orsós), Włoch (prof. Palmieri). Po 30 kwietnia Komisja Techniczna PCK normalnie kontynuowała swoją pracę. Aby usprawnić pracę dokonano podziału: 1 osoba przy ekshumacji zwłok, 2 przy obszukiwaniu zwłok, 1 przy numeracji zwłok, 1 przy ponownym pochówku, od 2 do 3 przy odczytywaniu dokumentów. Po 28 kwietnia, kiedy to przybyli kolejni członkowie Komisji (pp. M. Wodziński, który objął kierownictwo, S. Cupryjak, J. Mikołajczyk, F. Król, W. Buczak, F. Płonka) dokonywano szczegółowych oględzin zwłok, których nie można było zidentyfikować z dokumentów. W pracy uczestniczyli również okoliczni mieszkańcy, którzy byli rekwirowani przez władze niemieckie. Wszystkie wydobyte zwłoki opatrzone w blaszkę z wybitym numerem. Ten sam numer miała koperta ze znalezionymi przy zwłokach przedmiotami. Do kopert wkładano wszystko oprócz: banknotów luzem, gazet, bilonu, woreczków z tytoniem, bibułki do zawijania

papierosów, papierosnic drewnianych i blaszanych i innych tego typu codziennych sprzętów. Takie postępowanie zarządzane było przez władze niemieckie, w celu nie przeładowywania kopert. Koperty następnie wiązano drutem i wywożono dwa razy dziennie do Biura Sekretariatu Policji Tajnej oddalonego od miejsca prac o około 6 km . Tam po ponownym otwarciu kopert, przy współudziale trzech Niemców i przedstawicieli PCK, badano dokumenty i ustalano nazwiska ofiar. Pierwsze zwłoki zostały zidentyfikowane przez Niemców i to nastąpiło przed przyjazdem Komisji PCK. Następnie już uczestniczyli Polacy, jednak na początku nie sporządzali swojej polskiej listy ofiar. Dopiero od nr 0795 sporządzono polską listę ofiar, którą w miarę możliwości przesyłano do Zarządu Głównego PCK. Po dokładnym przeszukaniu terenu odkryto inne masowe groby Rosjan w różnym stanie rozkładu, aż do szkieletu włącznie. W czasie pobytu komisji od 15 kwietnia do 7 czerwca 1943 roku z 7 dołów ekshumowano ogółem 4243 zwłoki, z których 4233 wydobyto, a 2815 zidentyfikowano. 2 czerwca 1943 roku odnaleziono ósmy dół, położony w odległości 200 m od pozostałych. Wydobyto z niego tylko 10 zwłok, ponieważ władze niemieckie z uwagi na porę letnią zarządziły przerwę w pracach do września 1943 roku. 3 czerwca 1943 roku ekshumacje, aczkolwiek nie dokończone, przerwano. Decyzja ta wynikała ze wzrostu prędkości procesów gnilnych w wydobywanych zwłokach i zbliżania się frontu radzieckiego. 7 czerwca zasypano ostatnie groby.

Dziadek zamilkł, już wcześniej głos mu drżał, lecz teraz jakby żal zakneblował mu usta. Przez długą chwilę tępo wpatrywał się w dywan.

— Naprawdę podziwiam tych wszystkich Polaków biorących udział w pracach na tym Kozim pagórku. Szanuję ich i jeśli wszystko zapomnę ich nazwisk nie zapomnę. Co dzień w tak przerażającej scenerii, w otoczeniu zgnilizny, odurzeni wszech otaczającym smrodem niestrudzenie pracowali. Nie raz pewnie płakali nad mogiłą, a zresztą kto nie płakał? To właśnie Ci ludzie wykonywali pracę, której Niemcy się bali, a przy której Rosjanie odmawiali posłuszeństwa. To właśnie Ci ludzie wydobyli 49 ciał ze specjalnego dołu, zalanego podskórną wodą. Po pas w tej złożonej mazi stojąc wydobywali swych rodaków. To ta grupka osób walnie przyczyniła się do tego, aby swych rodaków wydobyć na światło dzienne i godnie pochować w nowych sześciu bratnich mogiłach. Zwłoki 2 generałów, znalezionych w pierwszym masowym grobie, (Smorawińskiego i Bohaterewicza) pochowano w oddzielnych pojedynczych grobach... Generałowie ubrani byli w mundury generalskie z wszystkimi dystynkcjami... Pamiętam, gdy wywożono ich z Kozielska. Bolszewicy

urządzili im uroczyste pożegnanie z kawiozem, kotletami i krymskim winem. My, urządziliśmy odjeżdżającym wielką owację. Gdybyśmy wiedzieli...

Zapadła grobowa cisza.

— Po przeprowadzeniu dochodzenia. Stwierdzono, że cały proceder był doskonale zorganizowany, precyzyjnie wykonany, a tak niehumanitarne zadanie oprawców stało się rutynową pracą. Po dniu pracy, żyli sobie jak normalni ludzie w Willi nieopodal. Tej zbrodni nie popełniło najbliższe NKWD ze Smoleńska, ale formację NKWD z odleglejszego Mińska. Po udowodnieniu im antystalinowskiej konspiracji dano im się szansę rehabilitacji. Jednak to było ich ostatnie zadanie. Podzielili los swych ofiar, a rozkaz brzmiał „zlikwidować”... Nie wiadomo jakie agendy NKWD „likwidowały” Starobielsk i Ostaszków, ale los morderców był taki sam. Ale wróćmy do nieszczęsnych ofiar. Na Kozią Górę przywożono 30 osób. Do samego końca nie wiedzieli co się z nimi stanie. Pod silną eskortą doprowadzeni pod swój grób byli jeszcze czasem okradani z zegarków, pasów głównych, scyzoryków, rubli, a nawet obrączek. Widok setki trupów nagła świadomość nieuchronnej śmierci. To powodowało, że większość biernie poddawała się oprawcom. Modląc się klękali nad przepaścią. Jednak byli i tacy, którzy walczyli o życie, ich powiązano sznurkiem w węzły samozaciskające, zakrywano im głowy i dźgano bagnetem o czwórgraniastym ostrzu. Koniec był jednak taki sam, strzał w kark. Opowiadał to tak niewzruszenie, ale nieraz w snach staczałem się w owe groby. Widziałem twarze, mnóstwo twarzy. Nie będąc tam, tam już zostałem. Kula z ogromną siłą czyniła spustoszenie w tych uczonych głowach, aby uwolnić się w okolicach czoła. Często rykoszetowała i trafiała w leżące już ciała. W tym samym czasie, w wagonach nieopodal nieświadomi czekali. Nic nie słyszeli. Nie mogli słyszeć, perfekcyjnie dobrana broń i amunicja, tak aby żaden szmer nie przedostał się z tej otchłani. Narzędzie zbrodni – broń krótka kal. 7,65 mm, zastosowane niemieckie naboje miały w przyszłości posłużyć, jako jeden z wielu rzekomych dowodów oskarżających Niemców. Oddawano przeważnie jeden strzał, nieliczne są czaszki z dwoma i tylko jedna posiadająca trzy otwory wlotowe. Ciała pomordowanych, w odkrytych grobach, ułożone były warstwami, w porządku w jakim upuścili Kozielsk, z twarzami zwróconymi do ziemi. W niektórych miejscach ciała są ułożone bezwiednie. Zwłoki w dolnych warstwach uległy częściowemu procesowi mumifikacji. Procesy chemiczne spowodowały silne spojenie się ciał, do tego stopnia, że do ich rozdzielania używano prętów i łopat. Najważniejszą rzeczą było określenie przez komisję przybliżonej daty dokonania tej zbrodni, ponieważ to data miała główny wpływ na osądzenie czy tej zbrodni dokonali Niemcy czy Rosjanie. Znaleziono przy

zwłokach dzienniki, listy, gazety pochodzą z okresu od jesieni 1939 do kwietnia 1940, przy czym ostatnia data pochodzi z rosyjskiej gazety z 22 kwietnia 1940 roku. W grobie Nr I zwłoki posiadały płaszcze zimowe oraz buty zaopatrzone w drewniane podeszwy izolacyjne, my je nazywaliśmy apelowki. W ostatnich odkrytych grobach ofiary były już lżej odziane. Z przeprowadzonych badań drzew, rosnących na mogiłach polskich oficerów, wynika że w 1940 roku nastąpiło ich przesadzenie. Decydującym dowodem na zajście tej zbrodni w 1940 roku są badania prof. Orsosa, polegające na wykryciu na powierzchni rozłożonego już mózgu wapiennych strzępów. Te wapienne zmiany zachodzą dopiero po około 3 latach przebywania zwłok w ziemi. Zmiany takie znaleziono w czaszce ciała opatrzonego numerem 526. Prof. Orsos również przeprowadził inne badania, które dowiodły, że ciała po śmierci nie były ruszane. Jak widzisz wszystko wskazywało na Rosjan, ale jak to mówił Szekspir, że świat jest opowieścią idioty to Niemcy zostali oskarżeni o ten bestialski czyn. Stało się to na Procesie Norymberskim. Podczas przesłuchania dnia 8 lutego 1946 roku gen. Rudienko, prokurator sowiecki, zaatakował Niemców za inwazję na Polskę i za prowadzoną przez nich politykę eksterminacji. Oskarżeni zarzut ten przyjęli z ironią. Goering nawet zdjął słuchawki. Gdy go zapytano o powód odpowiedział:

— *Nie myślałem, że będą oni na tyle bezczelni, by czynić aluzje do Polski.*

— *Dlaczego mówi Pan o bezczelności?—zapytał delegat armii amerykańskiej.*

— *Ponieważ napadli na Polskę w tym samym czasie co my — kpiąco odrzekł von Schirach.— Gdy wspomnieli o Polsce myślałem, że umrę ze śmiechu.*

Jak widzisz Niemcy uznali oskarżenie wniesione przez Związek Sowiecki za niedorzeczne. Niemniej płk Pokorowski, zastępca prokuratora, gen. Rudienki, przypisał Niemcom odpowiedzialność za zbrodnię w Katyniu, a jako dowód przedstawił raport sowieckiej komisji śledczej. Dotąd nie wspominałem o tej komisji, bo działalność jej i wnioski są tak kłamliwe, że człowiek obeznany w temacie czytając to powtarza w kółko słowa Szekspira. Teraz w skrócie muszę ci o tej komisji trochę opowiedzieć. Rzekomo pracowała (daty są niepewne i niesprawdzone) od 16 do 23 stycznia 1944 roku. A więc w okresie pełnej zimy i całkowitego zamarznięcia gruntu. Komunikat radziecki z dnia 24 stycznia 1944 niestety nie stwierdzał, w jaki sposób kopano w ziemi o konsystencji kamienia. Komunikat ten stwierdzał, że na terenie Katynia spoczywa około 11 000 pomordowanych Polaków, którzy latem 1941 znajdowali się w 3 obozach, nazwanych ogólnikowo 1-ON, 2-ON, 3-ON, a w czasie odwrotu Armii Radzieckiej

wpadli co do jednego w ręce Niemców, którzy natychmiast ich wymordowali. Datę zbrodni określono początkowo na sierpień 1941 roku, a potem na wrzesień-grudzień 1941. Nie podano żadnych szczegółów na temat owych 3 obozów, informując tylko, że leżały od 25 do 45 km na zachód od Smoleńska. Podana liczba 11000 potwierdzająca informację niemieckiej propagandy miała stworzyć wrażenie, iż spoczywają tam również byli jeńcy Starobielska i Ostaszkowa. To miało zapobiec dociekaniom na temat losu jeńców z tych obozów. Cały proces, a szczególnie sprawa Katynia była tragifarsą. Polacy byli głęboko przekonani, że jednego z winnych reprezentowała prokuratura. Byli jedynie obserwatorami i mogli poinformować władne osoby. Tak też się stało, bez żadnego odzewu, a proces był kontynuowany. Adwokat niemiecki zażądał powołania świadków każdej ze stron. Po wielu wykrętach strony rosyjskiej zdecydowano się powołać po trzech świadków. Ze strony rosyjskiej wyznaczono dr Prozorowskiego (członka sowieckiej Komisji Specjalnej), prof. Bazylewskiego ze Smoleńska (który słyszał, jak mówiono, że jednostki niemieckie były winne zamordowania Polaków) oraz dr Markowa (członka międzynarodowej komisji ekspertów medycyny sądowej powołanej przez władze niemieckie), który po wkroczeniu wojsk sowieckich do jego kraju (Bułgarii) diametralnie zmienił swoje poglądy w Sprawie Katyńskiej. Wbrew wysiłkom sowieckiej prokuratury oficerów niemieckich udało się uniewinnić, jednocześnie nie było dalszych dochodzeń „jeśli nie Niemcy, to kto”. Jedynie dr Hans Latenser (adwokat Naczelnego Dowództwa i sztabu Generalnego wojsk niemieckich) zwrócił się do przewodniczącego Sądu:

„Czy mogę sobie pozwolić na zapytanie prokuratora, kto jest uznany za odpowiedzialnego za morderstwo w Katyniu?”

Nie mam zamiaru odpowiadać na pytanie tego rodzaju — oświadczył lord Lawrence.

Opinię międzynarodową można porównać do wypowiedzi brytyjskiego polityka:

„Ja Was rozumiem, sprawa jest ważna i nawet ma znaczenie historyczne, ale taktyka nie pozwala jej podejmować dziś”

Dziadek kontynuował.

— Po procesie w Norymberdze zaległa cisza, którą przeszył skrzyp angielskiej gałęzi, na której zawisł Michał Łoboda vel Iwan Kriwoziercow, najważniejszy świadek największej zbrodni. I ten skrzyp zatuszowano. Jednak nie udało się uciszyć Emigracji i Polskiego Podziemia. To dzięki ich staraniom wydawano książki, broszury na temat tej jakże potwornej zbrodni. To dzięki im, z masy zeznań świadków, zaznaczono na mapie miejscowości: Dergacze i Twer, gdzie zapewne tak

samo jak w Katyniu spoczywają Polacy podstępnie zabici przez sowieckich oprawców. W Polsce powojennej próżno szukać w słownikach hasła „Katyń”, a wszystkie literackie próby kończą się odrzuceniem przez UKPPiW. Tylko semantyka zapewnia cenzuralne „zwolnienie”. Winnych nie ma, sprawa przycichła, dlatego o jedno proszę: „Boże nie pozwól zapomnieć”.

* * *

Minęło wiele lat. Dziadek umarł, z uśmiechem na twarzy, bo wiedział, że tam gdzie idzie nie będzie jego oprawców. I wiedział, że spotka przyjaciół, bo „kto tak umarł wolnym będzie”. Bóg nie pozwolił zapomnieć, wkrótce reżim ustąpił miejsca demokracji i swobodnie można publikować, zapalić lampkę na grobach Katyńskich i odwiedzić te dwie miejscowości, zaznaczone na mapie byłego ZSRR. Tam też postawiono krzyże.

Dokładnie 50 lat po dokonaniu egzekucji, w krótkim komunikacie agencji TASS Rosjanie oficjalnie przyznali się do popełnienia tej zbrodni.

**WERSJA POD CZUJNYM OKIEM
PANI MGR MROZIŃSKIEJ**

Zawsze uważałem dziadka za zwyczajnego szarego Polaka, dla którego czasem można coś zrobić, ale nigdy razem z nim. Od kiedy pamiętam dziadek tylko tkwił w swym fotelu i czytał gazety. Erudycja prasowa doprowadziła, do tego, iż stracił wiarę w istnienie Boga. Jednak wydaje mi się, że Boga to on stracił już dużo wcześniej. Wnioskowałem to z jego smutnego oblicza i oczu wciąż zatopionych w przestrzeni przed nim. Można by twierdzić, że mój dziadek ma bujną fantazję, jednak to co widział zdarzyło się naprawdę. Często zrywał się w nocy i łkał jak dziecko. Nigdy nie staraliśmy się dowiedzieć przyczyn. Dziadek taki już był.

Zbliżał się kwiecień roku 80-tego. Na jednej z lekcji historii nauczyciel „przemycił” nam „Sprawę Zbrodni Katyńskiej”, to mną wstrząsnęło i zaniepokoiło. Bezskutecznie szukałem dalszych informacji. Oficjalnie Katynia nie było. Rozczarowany zawartością miejskiej biblioteki, burknąłem z rozrzewnieniem.

— Przecież zbliża się 40-ta rocznica. Muszą to „zwolnić”.

— A co zaszło 40 lat temu? Wtedy tak dużo się działo.

— Naprawdę dziadku nie kojarzysz? Golgota, „Golgota Wschodu”.

Fizjologia dziadka diametralnie się zmieniła. Na smutnej twarzy spowił się jakby cień śmiertelności. Wzrok stał się błędny. Dziadek stał się nieobecny, pochłonięty przez obrazy migawkowo pojawiające się przed oczami. I wtedy zrozumiałem, on stąpał po tej górze, pełznął po tym cienkim lodzie, oddychał tym wiosennym powietrzem. Nie to niemożliwe, stamtąd nikt., chyba, że to on, on ciągnął za spust. Nie, to absurd. Dziadek i NKWD, dobry żart. Ale Eichmann też miał rodzinę.

Chciałem wypełnić tę białą plamę w życiorysie mojego dziadka. To było dziwne, ale uzmysłowiłem sobie, że ja tego człowieka zupełnie nie znam, pomimo tego, że tak długo go poznawałem.

Dziadek doszedł z wolna do siebie.

— Opowiem ci me dzieje wnuka. Ale muszę zacząć od początku, abyś lepiej zrozumiał grozę zdarzeń. Śniadanie zakłóciły dziwne zwroty dobiegające z radioodbiornika. Ja, w przeciwieństwie do swojej rodziny, wiedziałem, że to były zaszyfrowane rozkazy mobilizacyjne, chociaż oficjalnie mobilizacja nie była ogłoszona. Do południa wpatrywałem się bezproduktywnie w regał z książkami. Po południu otrzymałem kartę powołania nakazującą mi natychmiast zameldować się w moim pułku w 19 Dywizji Piechoty stacjonującej w Nowej Wilejce, do czynnej służby wojskowej. Nie byłem zdziwiony. Przebrałem się w mundur, włożyłem kilka rzeczy do walizki i pożegnałem się. Odczuwałem niepokój, a jednocześnie podniecenie. Rozpoczynałem nowy rozdział w życiu. W dowództwie pułku poinformowano mnie, że mam natychmiast objąć dowództwo kompanii gospodarczej. To oznaczało, że w polu

miałem dowodzić taborem pułkowym. Po kilku dniach nadszedł rozkaz odjazdu. Pociąg ruszył na południowy wschód, zdziwiłem się, ale pomyślałem, że będziemy osłaniać wschodnią granicę. Na przystankach ludność przynosiła mleko i owoce. Entuzjazm ogarnął większość Polaków, mniejszość zdawała sobie sprawę z sytuacji politycznej i gospodarczej naszego kraju i przez to nie było im do śmiechu. Niektórzy wiedzieli, że ostatecznie nie chodzi o to, aby militarnie wygrać z Rzeszą Niemiecką, lecz aby zmanifestować wolę narodu polskiego do obrony niepodległego bytu. W Lidzie zmieniliśmy kierunek na zachodni. Całe te perturbacje kierunkowe były spowodowane zapewne mnogością transportów, które również przesuwały się na zachód. W Warszawie przekroczyliśmy Wisłę i zmieniliśmy kierunek na południowo-wschodni. Wyładunek nastąpił na jakiejś małej stacji, której już nie pamiętam. Potem był długi nocny marsz. Po wschodzie słońca dotarliśmy do Łowicza. Tam krótki biwak, poczym rozkaz dalszego marszu. Był czwartek, ostatni dzień pokoju. Na następnym noclegu zostałem wezwany do dowództwa pułku. Adiutant oświadczył mi, iż przed chwilą otrzymał telefonogram, że niemieckie kolumny pancerne przekroczyły granice państwową. Przekazał mi rozkaz dowódcy pułku, aby wszystkie wozy i konie zostały zamaskowane. Wojna stała się faktem. Przez kilka kolejnych dni odbywaliśmy nocne marsze przesuając się na południe. 4 września osiągnęliśmy lasy okalające Piotrków Trybunalski. W lasach, okalających Piotrków od południa, doszło 5 września do walki. Zdolność naszej piechoty do odparcia najazdu czołgów była żadna. Heroiczny bój, z masą poległych, zakończył się ciszą. Potężne formacje czołgowe zmiotły nasze archaiczne zapory i skierowały się na Warszawę. My mieliśmy rozkaz marszu na wschód.

- Dziadku. Ja już zasypiam, a ty jeszcze nie jesteś w niewoli. Podaruj sobie szczegóły.
- W czasie drogi nastąpiły liczne reorganizacje. W dniu 18 września osiągnęliśmy Bug na wysokości Dorohuska. Po prawej stronie Bugu, na Wołyniu coś się działo. Lecz z braku radia byliśmy odcięci od wiadomości o sytuacji ogólnej. Cały dzień zmagaliśmy się z oddziałami niemieckimi, które z nieznanym nam przyczyn, chciały przeprowić się na lewą stronę. Następnego dnia rozpoczął się dziwna cisza. Niemcy stali na przeciwnym brzegu i wpatrywali się w nas. Przed południem nasz obserwator artyleryjski zameldował nagle: „wychodzą, ktoś wychodzi z lasu, to są tłumy, idą do rzeki, są bez broni, przechodzą koło niemieckich czołgów... O cholera to są nasi!” Wkrótce pierwsi z nich stanęli przed nami. Wszyscy powtarzali jedno: „Rosja wystąpiła, bolszewicy obsadzili Mołodeczno i Łuck. Broniliśmy Włodzimierza Wołyńskiego, Niemcy porządnie dostali od nas w skórę; nie wyglądało wcale na to, aby oni mogli zdobyć Włodzimierz, aż nagle 17 września

generał Sawicki, który nami dowodził, zebrał całą dywizję i oświadczył, że Rosja wystąpiła przeciwko nam i że w tych warunkach dalsza walka jest niemożliwa. Generał zapłakał i powiedział, że szeregowych zwalnia i zezwala im wrócić do domów, a oficerom rozkazuje, aby natychmiast samochodami usiłovali dotrzeć do granicy rumuńskiej”. Obawiałem się, że Niemcy wykorzystają ten rozgardiasz, aby sforsować sobie przejście, któregośmy im dnia poprzedniego nie dali. Lecz Niemcy stali ponurzy i wspaniali w swoich ogromnych hełmach. W postaciach tych można było wyczytać szacunek dla naszej tragedii. W rzeczywistości czekali na to, że złożymy broń i rozejdziemy się do „domów”. Płk Nowosielski napisał rozkaz, który został odczytany na stanowiskach wszystkich oddziałów pułków. Pułkownik oświadczył w nim, że wypadki, które zaszły we Włodzimierzu, w niczym nie zmniejszają naszych obowiązków żołnierskich. Warszawa i Lwów walczą, a naszym zadaniem jest ułatwić ich walkę angażowaniem sił nieprzyjaciela. Wojna nie jest bynajmniej skończona i naród polski będzie ją prowadził aż do zwycięstwa. Nie było żadnych wątpliwości, żadnych wahań u żołnierzy naszego pułku 19 DP. Ciężki moment psychologiczny został wygrany, dyscyplina nie została naruszona. Byliśmy wciąż zdolni do walki. Niektórzy z naszych żołnierzy zaczęli zamieniać się płaszczami, butami, szalikami z żołnierzami z rozpuszczonej dywizji. Nasz pułkownik zakazał tego procederu, lecz nakazał rekwirowanie rowerów. Gdy patrzyliśmy w ten żołnierski potok płynący, pułkownik szepnął: „Polska umiera”. Przez kilka następnych dni byliśmy ciągle w marszu. Niemieckie samoloty krążyły nad nami tak samo jak poprzednio, lecz nie strzelały. W zamian obsypywały nas ulotkami, o treści mniej więcej takiej: „Żołnierze, Rosja wystąpiła przeciwko Wam. Wasz Prezydent, Naczelnny Wódz i Rząd uciekli do Rumunii. Spełniliście dzielnie swój obowiązek. Lecz wojna jest już skończona. Dalszy opór z Waszej strony byłby tylko bezcelowym przedłużaniem przelewu krwi. Musicie złożyć broń.” Nikt w szeregach nie nachylał się, aby podnieść ulotkę. Twarze ich były smutne, szare i zacięte. W kilka dni później uczestniczyliśmy w bitwie pod Tomaszowem Lubelskim. Zadaliśmy Niemcom straty i wzięliśmy jeńców do niewoli. Głównego priorytetu nie osiągnęliśmy, ponieważ nie udało się zdobyć Tomaszowa, jednak poważnie odrzuciliśmy nieprzyjaciela na tym odcinku. Następny rozkaz marsz na Suchowolę. Miejsce koncentracji. Po szarych drogach wiły się sznury wozów cywilnych i wojskowych. Te same wozy przed tygodniem uciekały na wschód, obecnie pod naporem nadchodzących bolszewików na zachód.

— Dziadku byliście w stanie wojny z Rosją?

- To właśnie było najgorsze po agresji, która rozpoczęła się o godzinie 3⁰⁰ w nocy z 16 na 17 września, Rząd Polski nie ogłosił żadnej deklaracji precyzującej stan prawny między ZSRR a Rzeczypospolitą. Naczelnny Wódz, marszałek Edward Rydz-Śmigły o godzinie 16⁰⁰ wydał tzw. „dyrektywę ogólną”, czyli rozkaz nie stawiania oporu Armii Czerwonej. Te decyzje wywołały w późniejszym czasie skutek tragiczny . Brak międzynarodowego uznania stanu wojny między Polską a ZSRR odebrał jeńcom polskim w Rosji tytuł jeńców wojennych. Następny rozkaz – osiągnięcie lasów znajdujących się na prawym brzegu Wieprza w okolicach Krasnobrodu. Dzień 25 września, był dniem bezustannego ogniowego kontaktu z Niemcami. W nocy wojska niemieckie wycofały się z Krasnobrodu. Dzień następny był najtrudniejszym dniem dla dowódców. Musieli zadecydować co robić dalej. Frustrujące debatowanie zakłócił pewien podporucznik artylerii, który nagle się pojawił i bez przywitania szybko oznajmił, że od wschodu idą bolszewicy i w ciągu dwóch godzin tu będą. Trzeba było natychmiast podjąć decyzje.
- I co dziadku zrobiliście? Skapitulowaliście, tak jak inni?
- Nie. Podjęliśmy próbę przejścia na południe, wykorzystując przestrzeń pomiędzy wycofującymi się niemieckimi a posuwającymi się sowieckimi oddziałami. Jednak po jakimś czasie zaczęły tworzyć się grupki żołnierzy zdecydowanych opuścić oddział. Mówili, że dalsze kontynuowanie walki to skazywanie się na niewolę, a tam szeregowiec o wiele gorzej będzie traktowany niż oficer. Młotami rozbijali zamki swoich karabinów maszynowych, a z karabinów ręcznych i pistoletów ułożono stos, który następnie podpalono.
- Czemu dziadku niszczyli tak cenną broń?
- Robiono to, bo ta broń też była cenna dla bolszewików i aby nie wpadła w ich łapy trzeba było niszczyć te nieodzowne atrybuty wojny. Najtragiczniejsze było to, że niektórzy z żołnierzy, przeważnie mieszkańcy zachodnich części Polski, wierzyli iż Rosja to ich sojusznik i przyjaciel. Mieszkańcy kresów obdarzeni doświadczeniami rozbiorowymi, wiedzieli, że Rosja to wilk w owczej skórze. Niestety na przykład Ślązacy, nawet krótko przed wzięciem nas do niewoli, deklarowali sympatię do Rosji. To niewiedza skłoniła te garstkę do zostania na parkiecie w tym tańcu ze śmiercią. Oczywiście byli i tacy, którzy wiedząc wszystko o Sowietach brnęli dalej, ten typ ludzi nazywa się błędnymi rycerzami albo *honornyj wiarus*. Płk Nowosielski wydał rozkaz formowania kolumny marszowej. 300 osób wyruszyło mając krwiste słońce po prawej. To nie byli już waleczni rycerze, to było stado szczurów próbujących prześlizgnąć się. Nad ranem stanęliśmy w niedużej wiosce na odpoczynek. Po półtorej godzinie zalał nas potok sowieckiej kawalerii. Szeregowych

zwolniono, oficerów poprowadzono do dowództwa dywizji odległej o jakieś 10 km . Po drodze zarekwirowano nam zegarki i inne wartościowe precjoza. Przed dowództwem dywizji ustawiono nas półkolem. Młody rosyjski dowództwa wyszedł do nas.

—*Dzień dobry, pany oficery — przywitał się salutując — Nu, Niemcy urządzili wam nastojaszczuju totalnuju wojnu.*

Następnie zaczął z uznaniem mówić o niemieckiej strategii, o nowatorskim zastosowaniu zsynchronizowanego ataku piechoty, sił pancernych i lotnictwa. Z uznaniem opowiadał o odegranej roli lotnictwa w rozbiciu polskich linii komunikacyjnych.

—*Dziś Niemcy wojnę zrobili nam, a jutro zrobią wam— odezwał się ktoś z naszego szeregu.*

—*Nu, nam nie sdielajut — odpowiedział oficer z wiarą w głosie.*

Zgłoszono odebranie nam zegarków. Sowiecki dowódca wezwał dowódcę konwoju i kazał oddać zegarki. Jeden z oficerów rosyjskich wspomniał, że dowódca konwoju za swój wybryk zostanie rozstrzelany. Następnie czekała nas długa wędrówka. Najpierw przewieźli nas do Lwowa, później patrzyliśmy jak pociąg przekracza granicę Rzeczypospolitej. Czuliśmy jakby diabeł nas ciągnął w wielką otchłań. Po dwóch dniach oczekiwania w Podwołoczyskach, przeładowano nas do rosyjskich szerokotorowych wagonów towarowych, bardzo brudnych i śmierdzących, które nawet nie nadawały się do przewozu zwierząt. Niestety dla władców wszechpotężnej Rosji to było oczywiste, że dla nas i dla wielu milionów innych te warunki wystarczają, a ponadto przyczyniają się do „reedukacji” wrogów proletariatu, dyktatora i całego społeczeństwa sowieckiego. Ślimaczym tempem dojechaliśmy do Putiwla na północnej Ukrainie. Tam w okolicznej wsi, utworzony był jeden z 138 obozów przejściowych dla oficerów polskich. Z owej wsi wysiedlono całą ludność przed naszym przybyciem. Byłem umieszczony razem z ponad stu innymi osobami w trzyizbowym domu. Było bardzo ciasno, ale już w wagonach *tiepluszkach* przyzwyczailiśmy się do tego, nieodzownego atrybutu niewoli. Leżeliśmy pokotem na gołej podłodze, nieprawdopodobnie ściśnięci. Nie było mowy o tym, aby ktoś mógł leżeć na wznak, gdy zaś ktoś chciał się przewrócić na drugi bok, musiał o tym uprzedzać sąsiadów, ponieważ ten manewr można było wykonać jedynie jako ruch wspólny. Obok mnie leżał płk Nowosielski, a nogi me opierały się o gen. Wołkowickiego. Po pewnym czasie dano nam deski i pozwolono zrobić dwa pietra prycz. Również uzyskaliśmy zezwolenie na gimnastykę poranną. Wszechobecną nudę staraliśmy się niwelować poprzez różnego rodzaju odczyty. Na przykład prof.

Godłowski, członek Instytutu do Badań Mózgu przy Uniwersytecie Wileńskim wygłosił prelekcję o problemach badań mózgu. Częste wspomnienia przedwojennych losów zabijały czas. Gen. Bohaterowicz opowiadał nam jak bolszewicy znaleźli go w Druskiennikach, gdzie ten 70-letni, ale jeszcze rześki staruszek, leczył się na serce. Często późnym wieczorem na podwórzu puszczały nam filmy propagandowe. W ostatnich dniach października zakomunikowano nam, że czeka nas droga do miejscowości, gdzie będzie większa koncentracja jeńców polskich. Wkrótce też odbyło się formalne przekazanie nas przez Armie Czerwoną w ręce NKWD, poczym zarządzono wymarsz do stacji kolejowej. Zastaliśmy tam biwakujące liczne grupy oficerów z innych pobliskich „zon”. W pierwszych dniach listopada przewieziono nas do Kozielska. Trasa wiodła na północ na Briansk, następnie na wschód do rejonu Tuły. W wagonach towarowych były urządzone dwa pietra nar do spania. Pociąg zatrzymał się, była noc. Kazano nam utworzyć kolumnę i maszerować kilka kilometrów. Nadzór był dość słaby, jednak eskortujący mieli psy i to uniemożliwiało ucieczkę. Przechodziliśmy przez zupełnie uśpioną miejscowość. Buty grzęzły w nie brukowanych ulicach, które zamieniły się w nieprzejezdny szlam. Obdarte, brudne domki spozierały plugawą rzeczywistością. Obóz Kozielsk składał się z dwóch części. Klasztor, w którym podobno przez pewien czas przebywał Rasputin, składał się z kilkunastu budynków przeważnie murowanych, był otoczony murem i fosą. Drugą częścią był tzw. „skit”, były to w większości małe budynki drewniane, usytuowane w niedużym lasku. Niegdyś tam mieszkali mnisi eremici, następnie były to pomieszczenia udostępniane dla przybyłych do klasztoru pielgrzymów. Pierwszą dobę spędziłem w „skicie”. Napaliwszy uprzednio w piecu, czym się dało, wyciągnąłem się na wiązce siana i pierwszy raz od bardzo dawna byłem radosny. Następnego dnia zlikwidowano dowolne rozmieszczenie jeńców. Klasztor zajęli ci, którzy przed wojną mieszkali na terenie okupacji niemieckiej lub na Litwie. W „skicie” zaś ci, co zamieszkiwali wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, albowiem przez władze sowieckie byli uważani za swoich obywateli. Pomiedzy klasztorem a „skitem” władze obozu postawiły szczelny kordon, tak aby dwie grupy więźniów jak najmniej się stykały. Pewne możliwości komunikacji można było uzyskać tylko przy pomocy robotników rosyjskich, pracujących w obu częściach obozu. Drugą możliwością było to, że „skitowców” czasem przyprowadzano do łaźni w klasztorze. Mur okalający obóz był wysoki i na wszelki wypadek był jeszcze opasany kolczastym drutem. Na czterech rogach obozu wystawały wieże, gdzie przy karabinach maszynowych dzień i noc znajdowali się *bojcy*. Na tym nie kończyła się ochrona obozu. Między wieżami były „grzybki” dla innych wartowników, a oprócz

tego przy głównej bramie stało zawsze dwóch krasnoarmiejców. Aparat „porządkowy” był tak znakomity, że uciec z takiego obozu było możliwe, niestety, tylko „przez krzyż”. Obóz w Kozielsku liczył początkowo około 5 tysięcy osób. Było pięciu generałów: gen. Dywizji Minkiewicz, generałowie brygady Bohatyrewicz, Smorawiński i Wołkowicki, kontradmirał Czernicki. Było kilkunastu oficerów dyplomowanych. Jednakże większość było oficerów zmobilizowanych w chwili wybuchu wojny. Wśród nich znalazło się 20 profesorów wyższych uczelni, ponad 300 lekarzy, kilkuset prawników, inżynierów, nauczycieli, ponad 100 literatów i dziennikarzy. Byli przedstawiciele duchowieństwa rzymskokatolickiego z kanclerzem kurii biskupiej ks. Wojtyniakiem na czele. Wśród uwięzionych była jedna kobieta i jedyna w wojsku Polskim. Była to ppor. pilot Janina Lewandowska, córka gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego, która przez cały czas przebywała w gronie pilotów. Natychmiast po rozlokowaniu w obozie rozpoczęły się prace specjalnej komisji śledczej NKWD, które każdego z jeńców wzywały (czasami wielokrotnie) na indywidualne przesłuchania. Badania były przeprowadzane w dzień, jak i w nocy, z przerwą co parę dni. W tym celu wzywano nas do „urzędu badań”, który stał obok bramy wyjściowej. Tych oficerów śledczych (w stopniach od porucznika do majora), którzy się tym zajmowali nazywaliśmy politrukami. Oficjalnie ich zadaniem była propaganda, tzn. uświadomienie jeńców co do wyższości systemu sowieckiego. Faktycznie chodziło o zorientowanie się w nastrojach jeńców oraz o badanie naszej przynależności partyjnej. Pierwszy raz badała mnie kobieta, wysoka, o czarnych oczach, kruczych włosach i potężnej posturze. Cały czas pytała mnie o moje *socjalnoje położenije* i o przynależność do organizacji. Przypuszczam, że przesłuchujący musieli składać raporty z tych rozmów i dyskusji. Na czele zespołu prowadzącego te studia stał kombryg (odpowiednik generała brygady, co w służbie NKWD znaczyło o jeden lub dwa stopnie wyżej niż w służbie liniowej) Zarubin. Był to człowiek kulturalny, o dużej ogładzie towarzyskiej i umiejętności swobodnego prowadzenia konwersacji. Władał biegle francuskim i niemieckim, znał również trochę język angielski. Znał z autopsji niektóre kraje Zachodu. Przesłuchiwał osobiście tylko wybranych jeńców, specjalnie go interesujących z racji kwalifikacji intelektualnych lub politycznych. Ja również miałem przyjemność być przesłuchiwany przez niego. Zachwycił mnie swoimi manierami i dystynkcjami człowieka o wyższej kulturze. Zarubin w kontaktach z jeńcami zachowywał się zawsze z wyszukaną grzecznością. Dzisiaj dobrze wspominam tę perłę w tym bagnie ograniczeń umysłowych, jakimi charakteryzowali się nasi „opiekunowie”. Ślad Zarubina urywa się w marcu 1940 roku. Nikt potem go nie widział, nikt o nim nie

słyszał. Może padł ofiarą „czystek” stalinowskich, jako niebezpieczny świadek „ostatecznego rozwiązania trzech obozów jenieckich”. Nie jest wykluczone, że ten człowiek przeżył do końca wojny i nie jest wykluczone, że pod innym nazwiskiem zachwycał swą ogłoda AK-owców i innych patriotów w tragicznych latach 1944-1956. Postać Zarubina jak dotąd okryta jest mgiełką tajemnicy. Dzisiaj wiem, że to ten człowiek decydował o życiu i śmierci w naszym obozie. To on ustalał listy osób zabrzanych i wywiezionych w nieznanym kierunku. To również on w swych częstych wizytach w Moskwie wyasygnował podpis Stalina. Podpis ten był skutkiem raportów Zarubina, w których jasno wynikało, że w Kozielsku, jak i w Starobielsku i w Ostaszkowie, są sami patrioci. Rosjanie perfekcyjnie zachowywali pozory. Nad jeńcami w żaden sposób się nie znęcano, jedyną ostrzejszą karą był karcer, który przydzielano przeważnie za uprawianie jakichkolwiek praktyk religijnych. Gen. Henryk Minkiewicz jako najstarszy oficer w Kozielsku otoczył wszystkich opieką. Spokój, opanowanie, życzliwość i mądrość zyskały mu w krótkim czasie powszechną powagę. Rzadko kto sprzeciwiał się jego autorytetowi. Wolą generała było zaniechanie jakikolwiek zatargów, ponieważ sytuacja wymagała integracji. W Kozielsku była niezmiernie ożywiona działalność samokształceniowa, odczytowa, a nawet wydawnicza. Wbrew zakazom władz obozowych kwitła nauka języków, powstały komplety naukowe, a odczyty były zjawiskiem powszechnym, bywały również wieczory literackie, a nawet koncerty, gdyż jeden z więźniów zrobił sobie skrzypce. Czynnikiem, który odgrywał dużą rolę w podtrzymywaniu morale jeńców, był dziennik mówiony. Głównym redaktorem dziennika byli ppor. Leonard Korowajczyk i por. Janusz Libicki. Komenda obozu tępiła z uporem i zaciekłością te wszystkie objawy życia kulturalnego. Przez swą działalność niezrównany deklamator bodajże płk Chałaciński i prześmiewca Jim Poker przesiedzieli po 20 dni w karcerze obozowym „za szerzenie patriotyzmu polskiego”. Jim Poker wydawał czasopismo polityczno-literackie, w którym sarkastycznie wyśmiewał słabostki obozowe. Wszelkie wspólne modlitwy były surowo zakazane, więc nabożeństwa nabierały charakteru katakumbowego. Księża odprawiali msze święte w różnych zakamarkach starych cerkwi, lub nawet gdzieś w suterrenach, a potem rozdawano komunię świętą w postaci chleba pszenicznego. We wszystkich blokach był zachowany zwyczaj wieczornej modlitwy, czyli zachowanie trzyminutowej ciszy. Spowiedź odbywano przeważnie w czasie spacerów po podwórzu obozowym. W dzień wigilijny 1939 roku aresztowano i wywieziono wszystkich księży, zarówno rzymskokatolickich (ks. Wojtyniaka, ks. Nowaka, ks. Skorela, ks. Kanta), jak prawosławnych i protestanckich. Należy przypuszczać, że wszyscy zostali

zamordowani, z wyjątkiem ks. Kanta, którego odseparowano, a później przewieziono do Griazowca. Motywem tej decyzji było jego gdańskie obywatelstwo, które zadecydowało, że potraktowano go jako Niemca. W Kozielsku, na skutek cudownej Opatrzności, został ks. major Ziółkowski, który w czasie wywożenia księży siedział w karcerze z powodu kary za odprawianie nabożeństwa. W czasie pospiesznego wykonywania rozkazu wywozu duchownych, władze obozowe zapomniały o nim. Fakt, że właśnie okres świąt Bożego Narodzenia wybrano na wykonanie rozkazu, miał znaczenie psychologiczne i wywołał ogólne przygnębienie. Około Bożego Narodzenia otrzymaliśmy po raz pierwszy prawo napisania do rodzin po jednym liście. Przy czym musieliśmy podawać swój adres pocztowy jako „*Dom Oddycha imieni Gorkogo*”). Ta grudniowa fala listów ujawniła społeczeństwu polskiemu fakt istnienia obozu. Możliwość ta była kontynuowana przez kilka miesięcy, ale bardzo nieregularnie. Zima roku 1939/40 była wyjątkowo surowa, ziemia w Rosji zamarzła głęboko. Jednak nieuchronnie nadchodziła wiosna, a z nią decyzje o dalszym losie więźniów. Wiele lat później ustaliłem, że w marcu 1940 roku w Krakowie i Zakopanem odbyła się jedna z ostatnich konferencji NKWD i Gestapo na wysokim szczeblu, poświęconym sprawie współdziałania w zwalczaniu polskiego ruchu oporu. Na tej konferencji Niemcy odmówili przyjęcia jeńców polskich, zamieszkujących ziemie wcielone do Rzeszy. To zapewne zadecydowało o przyspieszeniu „rozwiązania ostatecznego”. Na początku marca kombryg Zarubin wyjechał, jego miejsce, pod koniec marca, zajął pułkownik NKWD ogromnej postury o czerwonej mięsistej twarzy. Ten pułkownik był specjalistą od brudnej roboty, który niewątpliwie był organizacyjnym oraz technicznym kierownikiem deportacji nas z Kozielska. Decyzja o powszechnym przymusowym szczepieniu przeciwko tyfusowi brzuszemu i cholercie, był dla mnie najbardziej tajemniczy zarządzeniem władz obozowych. Jaki był sens dawać ochronne szczepienie ludziom, którym i tak pozostało zaledwie kilka tygodni życia. Jednakże te szczepienie, rzekomo ze względu na oczekującą podróż, utwierdziło nas z przekonaniem o wydaniu nas w ręce niemieckie i uspiło wszelkie pesymistyczne podejrzenia. Możliwe jest, że decyzje o szczepieniu podjęły same władze obozu, na skutek niewiedzy o dalszych naszych losach przewidzianych przez Centralę NKWD. 3 kwietnia 1940 roku obiegała obóz, przekazywana z bloku do bloku, wieść: „Bychowca wywożą”. Potem dopiero posypały się inne nazwiska — i w kilka godzin później odszedł pierwszy transport w składzie 300 ludzi. Tak rozpoczęła się likwidacja Kozielska.

Dziadek zamyślił się. Zapewne widział przed sobą twarze tych ludzi, nieświadomych swej krótkiej przyszłości. Widział te błyski w oczach, wywołanych odmianą. Widział podniecenie u tych ludzi, którzy nie wiedząc nieśli już krzyż. I kolejna łaza pocięła...

Dziadek ociężale podniósł się z fotela. Chwiejnym krokiem zbliżył się do szafki, która od kiedy pamiętam była zamknięta. Długo przewalał liczne papiery. Do fotela wrócił z czymś w ręku. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak smutnego, wyglądał tak jakby mówiąc przeżywał tę tragedię raz jeszcze.

— Inni dziadkowie dają wnukom zegarki, medaliony czy inne precjoza, a ja ci przekazuję ten ślad na piasku — mówiąc to pokazał mi skrawek zszarganego papieru. A na nim daty:

XVIII. 3 kwietnia – 62 osoby, m.in. Bychowiec, Niemczyński, Wojciechowski;

XIX. 4 kwietnia – 302 osoby;

XX. 5 kwietnia – 280 osób, m.in. Fryga, Burdziński, Westerowski, Wołoszyn;

XXI. 7 kwietnia – 92 osoby, m.in. Minkiewicz, Smorwiński, Bohaterewicz, Stefanowski, Solski;

XXII. 8 kwietnia – 277 osób, m.in. Kruk, Zalasik;

XXIII. 9 kwietnia – 270 osób;

XXIV. 11 kwietnia – 290 osób, m.in. Wajda, Wajs, Bogusławski, Przygodziński, Iwanuszko, Pieńkowski, Urlich, Skupień;

XXV. 12 kwietnia – 204 osoby, m.in. Kotecki, Ochocki;

XXVI. 15 kwietnia – 150 osób, m.in. Pawlikowski, Bilewski;

XXVII. 16 kwietnia – 420 osób, m.in. Moszczeński, Trojanowski, Znajdowski, Sołtan;

XXVIII. 17 kwietnia – 294 osoby, m.in. Roguszczyk, Liliental, Majewski;

XXIX. 19 kwietnia – 304 osoby, m.in. Józwiak, Handy, Leitgeber, Rumianko, Domania, Rzążewski;

XXX. 20 kwietnia – 344 osoby, m.in. Kowalewicz, Prausa, Jabłoński, Morawski, Paciorowski;

XXXI. 21 kwietnia – 240 osób, m.in. Jakubowicz, Trepak;

XXXII. 22 kwietnia – 120 osób, m.in. Zięcina;

XXXIII. 26 kwietnia – 100 osób;

XXXIV. 27 kwietnia 200 osób;

— Dane z tej listy, którą trzymasz, są przybliżone, spisywane przeze mnie w Kozielsku po każdym transporcie. 29 kwietnia moje nazwisko znalazło się na liście, obok 300 innych osób. Po moim transporcie odeszły jeszcze 3 – 10 maja 50 osób, 11 maja 50 osób, 12 maja 90 osób. 12 maja był ostatnim, 21-wszym transportem, który opuścił

Kozielsk. Listy osób do wywiezienia były przekazywane telefonicznie z Moskwy, dlatego, późniejsze twierdzenie władz rosyjskich, że nie mają żadnych list wywiezionych jest kardynalną błagą. Jeńcy pracujący w administracji obozu prowadzili „podłuch telefonów z Moskwy”, w ten sposób mogliśmy dowiedzieć się o wyjeździe nieoficjalnie i trochę wcześniej. Ludzie mający wyjechać zegnali się ze znajomymi i pakowali swe rzeczy. Większość ze względu na pogłoski, iż zostaną wydani Niemcom, skrupulatnie wyczyścili swe mundury i w całej okazałości opuszczali obóz. Każdy z opuszczających dostawał specjalne racje żywnościowe, opakowane w czysty papier. Co zwróciło uwagę jeńców, ponieważ czysty, biały papier użyty w tych celach był rzadkością w ZSRR. Każdy jeńiec z osobna dostawał wezwanie stawienia się we wskazanym miejscu. Przekazanie nowej eskortie odbywał się w sposób uroczysty. Przekazywano nie tylko osobę, lecz również jej teczkę personalną, barwy czerwonej. Nowi opiekunowie przeprowadzili bardzo szczegółową rewizję osobistą, rekwirując przede wszystkim ostre przedmioty. Bramę obozu opuszczaliśmy z nową eskortą, która składała się z grupy ludzi o bardzo brutalnym zachowaniu. Traktowali nas nie jak ludzi, tylko jak przedmiotową przesyłkę. Ludzie ci byli zawodowcami, konwój był wzorowo pilnowany. Przed wejściem do obozu czekały ciężarówki, w których się ulokowaliśmy. Przewieziono nas na stację, lecz nasz pociąg czekał na boczniczy. Tabor składał się z sześciu wagonów typu *stołypinowskiego*. Były to wagony więzienne wprowadzone jeszcze za czasów carskich. Nie miały okien w przedziałach, tylko malutki otwór pod samym sufitem. Drzwi do przedziału były zamykane tylko od zewnątrz. Przez całą długość wagonu ciągnął się korytarz, przeznaczony dla strażnika i tylko w tym korytarzu było okno. Przedziały więzienne od korytarza były oddzielone kratą. Normalna pojemność przedziału w takim wagonie, to ośmiu siedzących lub czterech leżących, jeżeli podnosiło się górną półkę. Nas ulokowano po czternastu w każdym przedziale, ośmiu siedzących i po dwóch na podniesionej półce z każdej strony w ten sposób, że głowa jednego była tam, gdzie nogi drugiego. Prócz tego na górnych półkach pod samym sufitem, gdzie było miejsce na ręczny bagaż, umieszczono jeszcze dwóch, którzy mogli wyglądać na zewnątrz przez otwór pod sufitem. Byliśmy wiezieni dość szybko jak na rosyjską kolej, z jej hierarchią ważności. W brzasku porannym wjechaliśmy na stację w Smoleńsku. Staliśmy na uboczu, daleko od głównego peronu. Po krótkim postoju pociąg ruszył na zachód. Po kilkunastu minutach pociąg stanął. Z zewnątrz zaczęły dochodzić odgłosy poruszania się większej liczby osób. Wieść o rozładunku niczym fala przemykała z przedział do przedziału. Mniej więcej po półgodziny do naszego wagonu wszedł

pułkownik NKWD o czerwonej twarzy, który przybył do Kozielska maju. Wywołał moje nazwisko i powiedział, że zostaną wydzielony z transportu. Rozkazał iść za nim. Byłem oszołomiony. Gdy wyszedłem z wagonu poczułem intensywną woń wiosny od okolicznych pól i lasów. Gdzieś leżał śnieg. Opodal były zabudowania stacyjne, stacja nazywała się Gniezdowo. Nie widziałem żadnych ludzi z obsługi kolei. Lokomotywa odjechała. Pułkownik zaproponował mi herbatkę. Doprowadził mnie do pierwszego wagonu, z który był już pusty. Kazał mi wejść do przedziału, poczym zatrzasnął kratę. Strażnikowi kazał mi przynieść herbatkę. Po chwili strażnik przyniósł mi cały czajnik. Zjadłem śniadanie, z prowiantu otrzymanego w Kozielsku. Tajemniczy ryk motoru powtórzył się. Zaintrygowany wszedłem na najwyższą półkę w przedziale. Przez otwór pod sufitem zajrzałem na zewnątrz. Strażnik w tym samym czasie patrzył przez okno w korytarzu, które było skierowane w przeciwną stronę.

— Co dziadku ujrzałeś?

— Przed nami był równy, częściowo porośnięty trawą plac. Który zapewne był miejscem składowania materiałów drzewnych. Do placu przylegała droga idąca prostopadle do torów kolejowych, Plac był gęsto obstawiony kordonem wojsk NKWD z bagnetami na broń. Nawet na froncie, bezpośrednio po wzięciu nas do niewoli, eskorta nie nakładała bagnetów na broń. Z porannej mgiełki wyłonił się pasażerski autobus, jednakże okna jego były zasmarowane wapnem. Pojemność autobusu była około 30 osób, wejście dla pasażerów od tyłu. Autobus podjechał tyłem do sąsiedniego wagonu, tak że jeńcy mogli wchodzić bezpośrednio ze stopni wagonu, nie stąpając na ziemię. Z obydwu stron wejścia do autobusu stali żołnierze NKWD z bagnetami na broń. Po półgodzinie autobus wracał, aby zabrać następną partię. Dziwiło mnie to, czemu nie zarządzono pieszego marszu. Pośrodku placu z rękami w kieszeniach stał ów wysoki pułkownik NKWD, który mnie wydzielił z transportu. Było jasne, że on miał nadzór nad operacją transportu i wyładunku. Opodal stało czarne auto bez okien, słynny *czornyj woron*, którym się przewozi więźniów. Po południu przyszedł do wagonu podoficer NKWD i kazał mi iść za nim. Zaprowadził mnie na środek placu, gdzie stał pułkownik, który następnie przekazał mnie kapitanowi, który stał przy czarnym aucie. Kazano mi wejść do czarnego pudła, w którym było sześć oddzielnych celek. Kapitan zajął miejsce obok szofera. Dwóch strażników zajęło miejsca na tyle pojazdu. Strażnicy mieli karabiny, lecz bez bagnetów na karabinach. Niewątpliwie w tym, że w pewnych wypadkach wkładano bagnet, a w innych zdejmowano, była jakaś symbolika, której jednak w tamtej chwili nie mogłem odgadnąć. Po zamknięciu drzwi zapanowała absolutna

ciemność. Po chwili auto ruszyło. Przeżegnałem się, myślałem, że jadę na śmierć. Dziś już wiem, że się oddalałem. Mniej więcej po półgodzinie samochód stanął, Otworzono drzwi mojej celki i kazano mi wyjść. Znalazłem się na obszernym podwórzu, ze wszystkich stron otoczony murami. Umieszczono mnie w pustej celi przeznaczonej dla 30 osób. Byłem jedynym więźniem w całym więzieniu. Cisza przenikała ten przybytek, od czasu do czasu słychać były kroki strażnika, który przynosił mi posiłki. Wylegiwałem się na materacu, obwiniętym białym prześcieradłem, czytając otrzymane książki. Po sześciu dniach przewieziono mnie do obozu Pawliszczew Bor. Spotkałem tam znajomych z Kozielska, było ich tam około 150 osób. Było również 63 jeńców ze Starobielska, obozu we wschodniej Ukrainie, położonego na południowy wschód od Charkowa. Obóz mieścił się również w zabudowaniach poklasztornych. Trafili tam m.in. wszyscy oficerowie z rejonu obrony Lwowa, uwięzieni mimo zapewnienia w układzie kapitulacyjnym, że zostaną zwolnieni bez żadnych utrudnień. W Starobielsku uwięziono około 20 profesorów wyższych uczelni, około 400 lekarzy, kilkuset prawników, kilkuset inżynierów, około 100 nauczycieli, około 600 lotników, kilkudziesięciu literatów i dziennikarzy. Ogólna liczba jeńców wynosiła około 3920. To wszystko opowiedzieli nam jeńcy, którzy poprzednio byli uwięzieni w Starobielsku, i dnia 25 kwietnia zostali w ostatniej chwili wyłączeni z grupy 200 osobowej. Jest również 60 osób z obozu w Ostaszkowie, którzy opuścili swój obóz 29 kwietnia. Obóz ten położony był na północny zachód od Kalinina, również w dawnych zabudowaniach klasztornych na wyspie jeziora Seliger. Trafiło tam około 400 oficerów WP, wszyscy więźni do niewoli żołnierze KOP, żandarmeria wojskowa, członkowie wojskowej służby sądowniczej, kilkudziesięciu księży, kilka tysięcy policjantów, pochodzących z większości z zachodnich województw Polski, kilkuset podoficerów służby liniowej oraz pewna liczba ziemian, wywieziona ze wschodnich województw Rzeczypospolitej. 13 maja przywożą około 95 osób z Kozielska, a 14 maja 16 osób ze Starobielska, byli to ostatni więźniowie tych obozów. W dniu następnym przywieziono 45 osób z Ostaszkowa. 18 maja przyszedł ostatni transport, byli to jeńcy ze Ostaszkowa, w liczbie 19 osób. W sumie zostało przywiezionych 448 osób. W czerwcu wywożą nas do obozu w Griazowcu, który mieści się w klasztorze otoczonym potężnymi murami mającymi zębate wieże po rogach. Okna zabudowań klasztornych są zakratowane lub zabite deskami. Dookoła druty kolczaste i kilkunastu enkawudzystów na murach. Na miejscu spotykamy uwięzionych cywilów. W obozie przebywał gen. Wołkowicki, który był naszym autorytetem, do którego jeńcy zwracali się ze swoimi problemami. Również byli tam płk dypl. Grobicki, płk

prof. Szarecki, płk Sienicki, ppłk Berling, płk Bukojemski, mjr Kantat. Krótco przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej do obozu przywożą grupę jeńców litewskich. Życie w obozie było ustabilizowane. Strażnicy nas nie prześladowali, profesorowie na życzenie współwięźniów prowadzili liczne wykłady. Dostawaliśmy 3 posiłki dziennie. Często jeździliśmy na wyrąb lasu. Wśród nas była obsługa piekarni i łaźni. Był urządzony *krasnij ugołok* (czerwona świetlica), gdzie były gazety rosyjskie i polskie gadzinówki. Były odprawiane konspiracyjne Msze Święte, przez kapelana wojskowego, majora Kamila Kantaka. Był również ks. Peszkowski, ale już nie pamiętam skąd on się wziął. W Boże Narodzenie 1940 została odprawiona pasterka, na której znaleźli się wszyscy. Uroczystość była znakomicie zorganizowana. Dla każdego był przygotowany gwiazdkowy prezent. Prezenty były najrozmaitsze i czasami bardzo zmyślne. Choinkowe drzewo było ubrane w papierowe ozdoby. Długi stół był nakryty białym materiałem. I nawet był tort zrobiony z białego i czarnego chleba. Gdy enkawudzista to zobaczył wrzasnął: „*Szto eto takoje?*”, po chwili milczenia przetarł oczy i powiedział: „*A czort z wami, job wasza mat*”. Mieliśmy wina ze sfermentowanej jarzębiny z cukrem. Opłatki były dziełem obozowej piekarni. O wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej dowiedzieliśmy się z gazet rosyjskich. W późniejszym okresie zjawiał się wyższy oficer NKWD i zakomunikował, że następnego dnia przyjeżdżają nasi oficerowie z naszego dowództwa. Następnego dnia zjawiał się polski generał, jak dla nas dość dziwnie i śmiesznie ubrany. Czapka generalska, mundur, bryczesy jaśniejsze, sznurowane, długie buty i kijaszek w ręku. Był to szef polskiej misji wojskowej gen. Szyszko-Bohusz. Drugim generałem o lasce i skromniejszym wyglądzie, ze znakami więziennych przeżyć był Władysław Anders. Odczytano nam rozkaz dzienny nr 1, informujący, iż z dniem dzisiejszym nasz, były obóz jeniecki zostaje przemianowany na pierwszy obóz wojska polskiego na terytorium ZSRR. Komendantem obozu zostaje gen. bryg. Wołkowicki, szefem sztabu i zastępcą komendanta płk dypl. Grobicki. Staliśmy się więc wojskiem ze wszystkimi tego konsekwencjami. Broń przejęliśmy od NKWD, które opuściło obóz. Otrzymaliśmy racje żywnościowe przysługujące żołnierzom radzieckim. Nie będę dalej zajmować się moimi losami, gdyż są one zbyt błahe w porównaniu z wydarzeniami, które rozgrywały się gdzie indziej. Ważne jest, że od tego pamiętnego dnia nie byłem już jeńcem, tylko ponownie żołnierzem. Również z zawiei wojennej udało mi się ujść z życiem. Dlatego nie będę ci tego wszystkiego opowiadał. Opowiem ci jednak o walce przedstawiceli polskich w celu wyjaśnienia miejsca pobytu pozostałych jeńców Katyńskich (w liczbie około 4250) i nie tylko. Postaram ci streścić informacje, które

udało mi się uzyskać po wojnie. 22 czerwca 1941 wojska niemieckie zdradziecko uderzyły na ZSRR łamiąc układ sojuszniczy, ale ty pewnie to wiesz. 30 lipca gen. Sikorski podpisał z ambasadorem Majskim układ o współpracy, „unieważniający” postanowienia traktatu Ribbentrop-Mołotow oraz przyznający Polakom w ZSRR „amnestię”. Następnie zawarto układ o tworzeniu w Rosji armii polskiej. 4 sierpnia gen. Władysław Anders uwolniony został z więzienia na Łubiance i rozpoczął prace organizacyjne, zmierzające do skupienia w ośrodkach armii polskiej wszystkich uwięzionych w ZSRR oficerów i żołnierzy. Do armii gen. Andersa, przy ogromnych trudnościach i szykanach zaczęli się zgłaszać Polacy z najróżniejszych terenów ZSRR. 29 sierpnia gen. Anders odbył lot z Moskwy do Wołogdy, skąd na drugi dzień przybył do naszego obozu w Griazowcu. W tym dniu my, jak już ci opowiadałem, również staliśmy się członkami tej armii. Były więzień Starobielska, Józef Czapski, otrzymał zadanie zorganizowania biura opieki nad przybywającymi do armii. Jednakże do służby nie zgłosił się nikt z wywiezionych w 83 transportach z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Sporządzono z relacji ocalonych listę ponad 4 tys. nazwisk oficerów polskich „zaginionych w Rosji” i przedstawiono ją władzom ZSRR. Przez cały 1941 i 1942 odpowiedzi nie udzielono. Korespondencja z jeńcami urwała się nagle w kwietniu 1940. Do rodzin w Polsce przychodziły tylko listy od jeńców osadzonych w obozie w Griazowcu. Listy kierowane do Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa po maju 1940 wracały do nadawcy z napisem: „przerwanie doręczania,..”. Gdy rodziny zrozpaczone brakiem wiadomości od swoich bliskich, pisały bezpośrednio do władz sowieckich, odpowiadały im one, że jeńcy wysłani zostali w nieznanym kierunku. Wysoko postawieni dygnitarze ZSRR, między innymi Mołotow, w swych wypowiedziach podkreślali, iż na skutek trudności transportowych i administracyjnych, brakujące osoby pozostali w swych dotychczasowych miejscach zamieszkania. Zaczęto przypuszczać, iż jeńcy polscy są trzymani w obozach gdzieś na dalekiej północy, skąd miejscowe władze nie chcą ich zwolnić jako użyteczną siłę roboczą. Poczęły się rozchodzić dziwaczne pogłoski o pobycie oficerów na Kołymie czy nawet na Ziemi Franciszka Józefa. Jesienią 1941 roku władze radzieckie twierdziły uparcie, że wszystkich jeńców polskich już zwolniono i w żadnych obozach ich nie ma. W środowiskach polskich w Rosji zaczęły krążyć plotki o masowej zagładzie, w wersjach często umyślnie zniekształconych przez czynniki radzieckie. Opowiadano o jakiejś znacznej liczbie oficerów polskich zatopionych rzekomo na starych statkach na Morzu Białym czy Oceanie Lodowatym, co potem zaczęto wiązać z jeńcami w Ostaszkowie. Łudzono się nadal, że część zaginionych się odnajdzie. 4 listopada 1941 roku gen Anders

wystosował pismo do władz naczelných NKWD z prośbą o poszukiwanie zaginioných polskich jeńców, określając liczbę brakujących oficerów na 8722. Zaznaczył przy tym, że jest to lista niepełna i uzupełnienia nadal trwają. Na to pismo Dowództwo Sił Zbrojnych nigdy nie otrzymało odpowiedzi. Ustalona w końcu liczba zaginioných wyniosła około 15 tysięcy, w tym 8300 oficerów. Było to więcej niż liczyły w sumie 3 obozy jenieckie, gdyż liczono również jeńców trzymanyh w zwykłych łagrach lub więzieniach rozsianych po całym ZSRR. Wciąż wierzone, że władze stalinowskie mają jakiś ukryty cel w przetrzymywaniu jeńców. Niepowodzenia w poszukiwaniu zaginioných, trudności stwarzane polskim władzom cywilnym i wojskowym przez administrację stalinowską mogły zostać skutecznie rozwiązane tylko na najwyższym szczeblu. 3 grudnia 1941 roku generał Sikorski i Anders udali się do Moskwy. Przy sobie posiadali „Notatkę w sprawie internowanych żołnierzy W. P. z obozów w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie”, przygotowaną dnia 1 grudnia. Notatka zawierała treść podającą, iż ponad 95% wszystkich żołnierzy z 3 obozów gdzieś wywieziono i wszelki ślad po nich zaginął. Rozmowa ze Stalinem i Mołotowem odbyła się na Kremlu 3 grudnia 1941 roku. Cała rozmowa została udokumentowana. Na początku Stalin, oświadczył, że w myśl amnestii wszyscy Polacy zostali zwolnieni. Anders odpowiedział, że są setki, a nawet tysiące uwięzione, gdyż komendanci poszczególných obozów mają obowiązek wykonania planu produkcyjnego, w związku z czym nie chcą pozbywać się najlepszego materiału roboczego. Mołotow słysząc uśmiechnął się. Sikorski stwierdził, że zostały przeszukane wszystkie obozy jenieckie na terenie Niemiec i nie znaleziono tam żadnego z poszukiwanych osób. Kraj również został przeszukany z tym samym rezultatem. Więc ci ludzie muszą znajdować się w ZSRR. Na te zarzuty padło słynne sformułowanie.

Stalin: — „ To niemożliwe. Oni uciekli.

Anders: — Dokąd że mogli uciec?

Stalin: — No, do Mandżurii.

Anders: — To jest niemożliwe, żeby mogli wszyscy uciec...Większą część oficerów, wymienionych w tym spisie znam osobiście. Są wśród nich moi oficerowie sztabu i dowódcy. Ludzie ci mrą i giną w straszliwych warunkach.

Stalin: — Na pewno zwolniono ich, tylko jeszcze nie przybyli. Wiedźcie, że rząd radziecki nie ma najmniejszych powodów, żeby zatrzymać choćby jednego Polaka. ”

Te rozmowę znam na pamięć, uwidacznia zakłamanie i nieustanną grę w kotka i myszki. Wkrótce Stalin zaczął rozumieć, że cała sprawa może wyjść w końcu na

światło dzienne. Dnia 18 marca 1942 roku gen. Anders i płk Leopold Okulicki ponownie dopytywali się Stalina o los zaginionych oficerów. Wtedy dyktator ZSRR wybąknął: „Może znajdują się w obozach na terenach zajętych przez Niemcy”. I nic więcej nie dodał. W dalszej rozmowie wrócił do swojej dawnej tezy: „Wszyscy zostali zwolnieni”. Rozmowy przeciągały się, strona polska wciąż wierzyła, iż pewnego dnia ci ludzie wrócą. Wymijające odpowiedzi władz radzieckich powtarzały się w nieskończoność. Po trzech długich latach dochodzenia sprawa zaginionych osiągnęła punkt kulminacyjny, niestety wieść ta była dramatyczna. Pod koniec sierpnia 1941 roku niemiecka jednostka łączności należąca do Grupy Armii „Środek” zajęła dom NKWD, pod Smoleńskiem, nieopodal małej miejscowości o nazwie Katyń. Lasy wokół Katynia należały przed rewolucją 1917 roku do dwóch rodzin: Lednickich i Koźlińskich. Po rewolucji tereny te przejęło GPU, późniejsze NKWD. Jak twierdzili okoliczni mieszkańcy, już w roku 1918 dokonywano na tych terenach masowych egzekucji. W roku 1931 teren specjalnie wydzielono i ogrodzono, surowo zabraniając nań wstępu osobom postronnym. Zapewne wtedy wzniesiono w lesie obszerny dom „wypoczynkowy”, dostępny tylko dla NKWD. Jednostka ta nosiła oficjalną nazwę 537. Pułk łączności. Jego zadanie polegało na utworzeniu sieci łączności pomiędzy pięcioma, a niekiedy sześcioma armiami niemieckimi rozrzuconymi na zdewastowanych terenach Ukrainy i Rosji wschodniej. Latem 1942 roku Polacy przymusowo pracujący w niemieckiej Organizacji Todta przy budowie obiektów wojskowych, zostali zaczepieni przez okolicznego mieszkańca, który powiedział: „W tym lesie leżą wasi”. W październiku 1942 roku polscy kolejarze, pracujący w okolicach Smoleńska, odkopali kilka ciał w polskich mundurach, po czym przysypali je ziemią i postawili brzożowe krzyże. Nadeszła zima 1942/43, a wraz z nią przerwa w możliwościach poszukiwań. Władze niemieckie w Smoleńsku, powiadomione o znalezieniu w lasach Katyńskich jakichś grobów, nie okazały początkowo tą sprawą żadnego zainteresowania. Musiało minąć trochę czasu, podczas których władze niemieckie trawiły wieść odkrycia cmentarzyska polskich oficerów, aby w końcu wykorzystać ją do celów propagandy. Na przełomie marca i kwietnia 1943 zaczęto poważniejsze przeszukiwania miejsca o mianie *Kosogory*, czyli Kozie Góry (miejsce straceń w lasku Katyńskim). W pierwszych dniach kwietnia zaczęła pracę niemiecka grupa ekshumacyjna, na której czele stał prof. Dr Gerhardt Buhtz, specjalistą z dziedziny medycyny sądowej. Na podstawie wstępnych badań 13 kwietnia 1943 roku o godz. 15.15 czasu środkowoeuropejskiego radio w Berlinie nadało komunikat.

Dziadek raz jeszcze podszedł do szafy i wyciągnął plik kartek. Szedł bardzo wolno, niemal potykając się o własne nogi. Z minuty na minutę życie z niego odpływało. Drżącą ręką podał mi pewien dokument. Był to owy komunikat.

„Ze Smoleńska donoszą, że miejscowa ludność wskazała władzom niemieckim miejsce tajnych egzekucji masowych, wykonywanych przez bolszewików i gdzie GPU wymordowało 10.000 polskich oficerów. Władze niemieckie udały się do miejscowości Kosogory będącej sowieckim uzdrowiskiem, położonym o 16 km na zachód od Smoleńska, gdzie dokonały strasznego odkrycia. Znalazły dół mający 28 metrów długości i 16 metrów szerokości, w którym znajdowały się ułożone w 12 warstwach trupy oficerów polskich w liczbie 3.000. Byli oni w pełnych mundurach wojskowych, częściowo powiązani i wszyscy mieli rany od strzałów rewolwerowych w tyle głowy. Identyfikowanie trupów nie będzie sprawiało trudności, gdyż są one w stanie mumifikacji z powodu właściwości gruntu i ponieważ bolszewicy pozostawili przy ich ciałach papiery osobiste. Już dziś ustalono, że wśród zamordowanych znajduje się m.in. gen. Smorawiński z Lublina. Oficerowie znajdowali się początkowo w Kozielsku pod Orłem, skąd w lutym i marcu 1940 r. sprowadzeni zostali z bydłowych wagonach do Smoleńska, a stamtąd ciężarówkami zawiezieni do Kosogor, gdzie bolszewicy ich wszystkich wymordowali. Poszukiwania i odkrycia nowych dołów są w toku. Pod już wykopanymi warstwami znajdują się nowe warstwy. Ogólna ilość zamordowanych oficerów obliczana jest na 10.000, co odpowiadałoby mniej więcej całości korpusu oficerskiego polskiego, wziętego przez bolszewików do niewoli. (...)”

— Wiadomość podana przez niemieckie radio wywołała ogromne poruszenie w emigracji polskiej i wśród jeńców polskich w niemieckich oflagach. Większość nie wierzyła w możliwość popełnienia takiej zbrodni i raczej była przekonana, że to mowa chwył propagandy niemieckiej, zmierzającej do pozyskania sobie Polaków. Jednocześnie chciano wierzyć w taką wersję, ponieważ niosła nikłą szansę, że nikt nie zginął, a wszystko jest sfingowane. Zaczęto snuć najrozmaitsze domysły, w jaki sposób Niemcy mogli spreparować tego rodzaju zbiorowy mord. Dla tych ludzi nie znających tematu w pierwszej chwili wydało się, że Niemcy poubierali zwłoki zmarłych w obozach koncentracyjnych osób cywilnych w mundury polskich oficerów, następnie przewieźli je do Katynia i zakopali w miejscu, gdzie w latach

1920/21 i 1937/38 bolszewicy dokonywali egzekucji. !4 kwietnia „Nowy Kurier Warszawski” powiadomił o odkryciu grobów w Katyniu, obszernie wyjaśniając sprawę 15 kwietnia. W ciągu następnych dni sukcesywnie ukazywały się listy zidentyfikowanych zwłok. Bardzo wiele polskich rodzin w informację niemiecką nie uwierzyło, ponieważ rozchodziły się pogłoski – nie wiadomo przez kogo kolportowane, a bynajmniej nie dementowane przez Departament Informacji i Prasy Delegatury Rządu – że Niemcy zdobyli w Rosji znaczną ilość dokumentów polskich jeńców wojennych, a połączywszy je z jakimiś zwłokami usiłują stworzyć pozory wymordowania oficerów przez NKWD. Niedowierzenie wzmożło się po 19 kwietniu, kiedy to doszło do walki zbrojnej podjętej przez bojowców Żydowskiej Organizacji Bojowej i Żydowskiej Związku Wojskowego przeciw wkraczającym do getta oddziałom niemieckim w celu jego ostatecznej likwidacji. Nam czyli członkom Armii Polskiej na Wschodzie nagle otworzyły się oczy. Na początku było niedowierzenie, aby ustąpić wzburzeniu, później wielka gorycz, aby w końcu uzmysłwić sobie nasze ogromne zaślepienie. Stawały jak żywe obrazy wojny i życia obozowego. Dopiero teraz dotarły do nas zwroty sowieckich strażników, wcześniej niezrozumiałe. Podejrzane postępowania znalazły teraz uzasadnienie. 15 kwietnia rząd RP w Londynie postanowił zwrócić się z prośbą o zbadanie całej sprawy do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie. Niestety decyzja została wprowadzona w życie dopiero po 48 godzin, dnia 17 kwietnia 1943 roku, kiedy to przedstawiciel Polski w Genewie przedstawił prośbę swego rządu przedstawicielom MCK. Okazała się wówczas, że Niemcy byli sprawniejsi, gdyż już 16 kwietnia zaprosili MCK do wysłania komisji na teren zbrodni. 20 kwietnia rząd RP wystosował notę do rządu ZSRR, prosząc o zajęcie stanowiska w tej sprawie i udzielenie wszystkich możliwych wyjaśnień. Na tę notę Moskwa nie udzieliła żadnej odpowiedzi. 21 kwietnia rząd radziecki oskarżył polskie władze emigracyjne o współpracę z Hitlerem przeciwko Sprzymierzonym.

— Dziadku te ruskie to... normalnie brak mi słów.

— To dopiero preludium. 26 kwietnia rząd ZSRR zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem RP na emigracji, motywując to współpracą Polski z hitlerowską Rzeszą.

Dziadek podał mi następną kartkę.

— Trzeba też wspomnieć o wersji rosyjskiej Zbrodni Katyńskiej, która jako riposty na zarzuty niemieckie, była podana w radiu moskiewskim w dniu 15 kwietnia 1943.

„(...) W ciągu ubiegłych dwóch, trzech dni, oszczercy Goebbelsa rozpowszechniali podłe wymysły, utrzymując, iż władze sowieckie dokonały masowego rozstrzelania polskich oficerów, wiosną 1940 roku w okolicy

Smoleńska. Wynajdując tę potworność, szubrawcy niemiecko-faszystowscy nie wahają się przed najbardziej bezwstydnymi i nikczemnymi kłamstwami, starając się pokryć zbrodnie, które – jak to obecnie stało się oczywiście – dokonane były przez nich samych.

Niemiecko-faszystowskie doniesienia, w tej sprawie nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do tragicznego losu byłych polskich jeńców wojennych, którzy byli zatrudnieni na robotach budowlanych w 1941 roku w okolicach na zachód od Smoleńska, wpadli w ręce oprawców niemiecko-faszystowskich w lecie 1941 roku, po wycofaniu się wojsk sowieckich z okręgu Smoleńska.

W swych nieudolnie skleconych wymysłach, dotyczących licznych grobów, które Niemcy mieli rzekomo odkryć w pobliżu Smoleńska, kłamcy hitlerowcy wspominają o wsi Gniezdowaja dokonano wykopalisk archeologicznych historycznego „cmentarzyska Gniezdowaja”. (...)”

- Jak widzisz sytuacja dla Polaków, mało obeznanych z kulisami całej sprawy, była niesprecyzowana i nawet niektórzy wysłannicy lecący do Katynia byli przekonani o winie Niemców.
- Czy Polacy pojechali na miejsce ekshumacji?
- Tak już 10 kwietnia, czyli trzy dni przed oficjalną wiadomością radia niemieckiego, odleciała pierwsza wyprawa. Ta ekspedycja, zorganizowana przez Niemców, złożona była z kilku Polaków z Warszawy i Krakowa. Wśród nich byli lekarze, dziennikarz, fotoreporterka, a nawet robotnik. Wizyta ta była pobieżna. Niemcy w ten sposób chcieli uzyskać wiarygodnych naocznych świadków, badanych przez siebie miejsc. Jednak w kilka dni po pierwszej delegacji na miejsce ekshumacji udała się druga o charakterze technicznym. Wzięli w niej udział przedstawiciele PCK oraz lekarze z Warszawy: K.J. Skarżyński, L. Rojkiewicz, J. Wodzinowski, dr med. H. Bartoszewski, S. Kołodziejski, Z. Bohowski, R. Banach, oraz z Krakowa: dr med. A.Szebesta, dr med. T. Susz-Pragłowski, dr S. Klapert. Ponadto jako obserwatorzy: ks. S. Jasiński i red. M. Martens. Część tej grupy pozostała, by uczestniczyć w dalszej ekshumacji zwłok, rozpoznawaniu oraz grzebaniu. 17 kwietnia 1943 Komisja Techniczna PCK rozpoczęła pracę. W tym dniu przyjechała delegacja polska, składająca się z oficerów-jeńców przywiezionych z oflagów. Mianowicie byli to ppłk S. Mossor, kpt. Cylkowski, ppor. S Gostkowski, kpt. E. Kleban, ppor. Z. Rowiński, kpt. K. Adamski. 19 stycznia na miejsce prac przyjechali kolejni członkowie Komisji PCK: H. Kassur, G. Jaworowski, A. Godzik, oraz delegacja zagraniczna, w skład której wchodził: Szwed, Finlandczyk, Hiszpan,

Belg, Flamandczyk, Włoch, Czech, emigrant rosyjski z Berlina oraz prof. L. Kozłowski, były premier RP i trzech urzędników z Propagandy z Berlina. Po 19 kwietnia przewodnictwo Komisji Technicznej PCK objął Hugon Kassur. Ze względu na brak środków technicznych członkowie komisji musieli spać w baraku we wsi Katyń, a od 20 maja do 7 czerwca w lokalu szkoły wiejskiej. Prace komisji często zakłócały wizyty niemieckich wycieczek, a w dniach 28-30 kwietnia 1943 roku pracowała międzynarodowa komisja specjalistów. Międzynarodowy Czerwony Krzyż odrzucił prośbę (polską i niemiecką) o wysłanie do Katynia komisji międzynarodowej, motywując to sprzeciwem ZSRR, Niemcy sami zorganizowali komisję. W skład niej weszli specjaliści z Belgii (dr Speleers), Bułgarii (doc. Markow), Czech (prof. Hajek), Danii (dr Tramsen), Finlandii (prof. Saxen), Francji (dr Costedoat), Kroacji (prof. Miłosławicz), Rumuni (dr Birkle), Holandii (prof. De Burlet), Szwajcarii (prof. Naville), Słowacji (prof. Šubik), Węgier (prof. Orsós), Włoch (prof. Palmieri). Po 30 kwietnia Komisja Techniczna PCK normalnie kontynuowała swoją pracę. Aby usprawnić pracę dokonano podziału: 1 osoba przy ekshumacji zwłok, 2 przy obszukiwaniu zwłok, 1 przy numeracji zwłok, 1 przy ponownym pochówku, od 2 do 3 przy odczytywaniu dokumentów. Po 28 kwietnia, kiedy to przybyli kolejni członkowie Komisji (pp. M. Wodziński, który objął kierownictwo, S. Cupryjak, J. Mikołajczyk, F. Król, W. Buczak, F. Płonka) dokonywano szczegółowych oględzin zwłok, których nie można było zidentyfikować z dokumentów. W pracy uczestniczyli również okoliczni mieszkańcy, którzy byli rekwirowani przez władze niemieckie. Wszystkie wydobyte zwłoki opatrzone w blaszkę z wybitym numerem. Ten sam numer miała koperta ze znalezionymi przy zwłokach przedmiotami. Do kopert wkładano wszystko oprócz: banknotów luzem, gazet, bilonu, woreczków z tytoniem, bibułki do zawijania papierosów, papierosnic drewnianych i blaszanych i innych tego typu codziennych sprzętów. Takie postępowanie zarządzone było przez władze niemieckie, w celu nie przeładowywania kopert. Koperty następnie wiązano drutem i wywożono dwa razy dziennie do Biura Sekretariatu Policji Tajnej oddalonego od miejsca prac o około 6 km . Tam po ponownym otwarciu kopert, przy współudziale trzech Niemców i przedstawicieli PCK, badano dokumenty i ustalano nazwiska ofiar. Pierwsze zwłoki zostały zidentyfikowane przez Niemców i to nastąpiło przed przyjazdem Komisji PCK. Następnie już uczestniczyli Polacy, jednak na początku nie sporządzali swojej polskiej listy ofiar. Dopiero od nr 0795 sporządzono polską listę ofiar, którą w miarę możliwości przesyłano do Zarządu Głównego PCK. Po dokładnym przeszukaniu terenu odkryto inne masowe groby Rosjan w różnym stanie rozkładu, aż do szkieletu

włącznie. W czasie pobytu komisji od 15 kwietnia do 7 czerwca 1943 roku z 7 dołów ekshumowano ogółem 4243 zwłoki, z których 4233 wydobyto, a 2815 zidentyfikowano. 2 czerwca 1943 roku odnaleziono ósmy dół, położony w odległości 200 m od pozostałych. Wydobyto z niego tylko 10 zwłok, ponieważ władze niemieckie z uwagi na porę letnią zarządziły przerwę w pracach do września 1943 roku. 3 czerwca 1943 roku ekshumacje, aczkolwiek nie dokończone, przerwano. Decyzja ta wynikała ze wzrostu prędkości procesów gnilnych w wydobywanych zwłokach i zbliżania się frontu radzieckiego. 7 czerwca zasypano ostatnie groby.

Dziadek zamilkł, już wcześniej głos mu drżał, lecz teraz jakby żal zakneblował mu usta. Przez długą chwilę tępo wpatrywał się w dywan.

— Naprawdę podziwiam tych wszystkich Polaków biorących udział w pracach na tym Kozim pagórku. Szanuję ich i jeśli wszystko zapomnę ich nazwisk nie zapomnę. Co dzień w tak przerażającej scenerii, w otoczeniu zgnilizny, odurzeni wszech otaczającym smrodem niestrudzenie pracowali. Nie raz pewnie płakali nad mogiłą, a zresztą kto nie płakał? To właśnie Ci ludzie wykonywali pracę, której Niemcy się bali, a przy której Rosjanie odmawiali posłuszeństwa. To właśnie Ci ludzie wydobyli 49 ciał ze specjalnego dołu, zalanego podskórną wodą. Po pas w tej złożonej mazi stojąc wydobywali swych rodaków. To ta grupka osób walnie przyczyniła się do tego, aby swych rodaków wydobyć na światło dzienne i godnie pochować w nowych sześciu bratnich mogiłach. Zwłoki 2 generałów, znalezionych w pierwszym masowym grobie, (Smorawińskiego i Bohaterewicza) pochowano w oddzielnych pojedynczych grobach... Generałowie ubrani byli w mundury generalskie z wszystkimi dystynkcjami... Pamiętam, gdy wywożono ich z Kozielska. Bolszewicy urządzili im uroczyste pożegnanie z kawiozem, kotletami i krymskim winem. My, urządziliśmy odjeżdżającym wielką owację. Gdybyśmy wiedzieli...

Zapadła grobowa cisza.

— Po przeprowadzeniu dochodzenia. Stwierdzono, że cały proceder był doskonale zorganizowany, precyzyjnie wykonany, a tak niehumanitarne zadanie oprawców stało się rutynową pracą. Po dniu pracy, żyli sobie jak normalni ludzie w Willi nieopodal. Tej zbrodni nie popełniło najbliższe NKWD ze Smoleńska, ale formację NKWD z odleglejszego Mińska. Po udowodnieniu im antystalinowskiej konspiracji dano im się szansę rehabilitacji. Jednak to było ich ostatnie zadanie. Podzielili los swych ofiar, a rozkaz brzmiał „zlikwidować”... Nie wiadomo jakie agendy NKWD „likwidowały” Starobielsk i Ostaszków, ale los morderców był taki sam. Ale wróćmy do nieszczęsnych ofiar. Na Kozią Górę przywożono 30 osób. Do samego

końca nie wiedzieli co się z nimi stanie. Pod silną eskortą doprowadzeni pod swój grób byli jeszcze czasem okradani z zegarków, pasów głównych, scyzoryków, rubli, a nawet obrączek. Widok setki trupów nagła świadomość nieuchronnej śmierci. To powodowało, że większość biernie poddawała się oprawcom. Modląc się klękali nad przepaścią. Jednak byli i tacy, którzy walczyli o życie, ich powiązano sznurkiem w węzły samozaciskające, zakrywano im głowy i dźgano bagnetem o czwórgraniastym ostrzu. Koniec był jednak taki sam, strzał w kark. Opowiadam to tak niewzruszenie, ale nieraz w snach staczałem się w owe groby. Widziałem twarze, mnóstwo twarzy. Nie będąc tam, tam już zostałem. Kula z ogromną siłą czyniła spustoszenie w tych uczonych głowach, aby uwolnić się w okolicach czoła. Często rykoszetowała i trafiała w leżące już ciała. W tym samym czasie, w wagonach nieopodal nieświadomi czekali. Nic nie słyszeli. Nie mogli słyszeć, perfekcyjnie dobrana broń i amunicja, tak aby żaden szmer nie przedostał się z tej otchłani. Narzędzie zbrodni – broń krótka kal. 7,65 mm, zastosowane niemieckie naboje miały w przyszłości posłużyć, jako jeden z wielu rzekomych dowodów oskarżających Niemców. Oddawano przeważnie jeden strzał, nieliczne są czaszki z dwoma i tylko jedna posiadająca trzy otwory wlotowe. Ciała pomordowanych, w odkrytych grobach, ułożone były warstwami, w porządku w jakim upuścili Kozielsk, z twarzami zwróconymi do ziemi. W niektórych miejscach ciała są ułożone bezwiednie. Zwłoki w dolnych warstwach uległy częściowemu procesowi mumifikacji. Procesy chemiczne spowodowały silne spojenie się ciał, do tego stopnia, że do ich rozdzielania używano prętów i łopat. Najważniejszą rzeczą było określenie przez komisję przybliżonej daty dokonania tej zbrodni, ponieważ to data miała główny wpływ na osądzenie czy tej zbrodni dokonali Niemcy czy Rosjanie. Znalezione przy zwłokach dzienniki, listy, gazety pochodzą z okresu od jesieni 1939 do kwietnia 1940, przy czym ostatnia data pochodzi z rosyjskiej gazety z 22 kwietnia 1940 roku. W grobie Nr I zwłoki posiadały płaszcze zimowe oraz buty zaopatrzone w drewniane podeszwy izolacyjne, my je nazywaliśmy apelówki. W ostatnich odkrytych grobach ofiary były już lżej odziane. Z przeprowadzonych badań drzew, rosnących na mogiłach polskich oficerów, wynika że w 1940 roku nastąpiło ich przesadzenie. Decydującym dowodem na zajście tej zbrodni w 1940 roku są badania prof. Orsosa, polegające na wykryciu na powierzchni rozłożonego już mózgu wapiennych strzępów. Te wapienne zmiany zachodzą dopiero po około 3 latach przebywania zwłok w ziemi. Zmiany takie znaleziono w czaszce ciała opatrzonego numerem 526. Prof. Orsos również przeprowadził inne badania, które dowiodły, że ciała po śmierci nie były ruszane. Jak widzisz wszystko wskazywało na Rosjan, ale

jak to mówił Szekspir, że świat jest opowieścią idioty to Niemcy zostali oskarżeni o ten bestialski czyn. Stało się to na Procesie Norymberskim. Podczas przesłuchania dnia 8 lutego 1946 roku gen. Rudienko, prokurator sowiecki, zaatakował Niemców za inwazję na Polskę i za prowadzoną przez nich politykę eksterminacji. Oskarżeni zarzut ten przyjęli z ironią. Goering nawet zdjął słuchawki. Gdy go zapytano o powód odpowiedział:

— *Nie myślałem, że będą oni na tyle bezczelni, by czynić aluzje do Polski.*

— *Dlaczego mówi Pan o bezczelności?—zapytał delegat armii amerykańskiej.*

— *Ponieważ napadli na Polskę w tym samym czasie co my — kpiąco odrzekł von Schirach.— Gdy wspomnieli o Polsce myślałem, że umrę ze śmiechu.*

Jak widzisz Niemcy uznali oskarżenie wniesione przez Związek Sowiecki za niedorzeczne. Niemniej płk Pokorowski, zastępca prokuratora, gen. Rudienki, przypisał Niemcom odpowiedzialność za zbrodnię w Katyniu, a jako dowód przedstawił raport sowieckiej komisji śledczej. Dotąd nie wspominałem o tej komisji, bo działalność jej i wnioski są tak kłamliwe, że człowiek obeznany w temacie czytając to powtarza w kółko słowa Szekspira. Teraz w skrócie muszę ci o tej komisji trochę opowiedzieć. Rzekomo pracowała (daty są niepewne i niesprawdzone) od 16 do 23 stycznia 1944 roku. A więc w okresie pełnej zimy i całkowitego zamarznięcia gruntu. Komunikat radziecki z dnia 24 stycznia 1944 niestety nie stwierdzał, w jaki sposób kopano w ziemi o konsystencji kamienia. Komunikat ten stwierdzał, że na terenie Katynia spoczywa około 11 000 pomordowanych Polaków, którzy latem 1941 znajdowali się w 3 obozach, nazwanych ogólnikowo 1-ON, 2-ON, 3-ON, a w czasie odwrotu Armii Radzieckiej wpadli co do jednego w ręce Niemców, którzy natychmiast ich wymordowali. Datę zbrodni określono początkowo na sierpień 1941 roku, a potem na wrzesień-grudzień 1941. Nie podano żadnych szczegółów na temat owych 3 obozów, informując tylko, że leżały od 25 do 45 km na zachód od Smoleńska. Podana liczba 11000 potwierdzająca informację niemieckiej propagandy miała stworzyć wrażenie, iż spoczywają tam również byli jeńcy Starobielska i Ostaszkowa. To miało zapobiec dociekaniom na temat losu jeńców z tych obozów. Cały proces, a szczególnie sprawa Katynia była tragifarsą. Polacy byli głęboko przekonani, że jednego z winnych reprezentowała prokuratura. Byli jedynie obserwatorami i mogli poinformować władne osoby. Tak też się stało, bez żadnego odzewu, a proces był kontynuowany. Adwokat niemiecki zażądał powołania świadków każdej ze stron. Po wielu wykrętach strony rosyjskiej zdecydowano się powołać po trzech świadków. Ze

strony rosyjskiej wyznaczono dr Prozorowskiego (członka sowieckiej Komisji Specjalnej), prof. Bazylewskiego ze Smoleńska (który słyszał, jak mówiono, że jednostki niemieckie były winne zamordowania Polaków) oraz dr Markowa (członka międzynarodowej komisji ekspertów medycyny sądowej powołanej przez władze niemieckie), który po wkroczeniu wojsk sowieckich do jego kraju (Bułgarii) diametralnie zmienił swoje poglądy w Sprawie Katyńskiej. Wbrew wysiłkom sowieckiej prokuratury oficerów niemieckich udało się uniewinnić, jednocześnie nie było dalszych dochodzeń „jeśli nie Niemcy, to kto”. Jedynie dr Hans Latenser (adwokat Naczelnego Dowództwa i sztabu Generalnego wojsk niemieckich) zwrócił się do przewodniczącego Sądu:

„Czy mogę sobie pozwolić na zapytanie prokuratora, kto jest uznany za odpowiedzialnego za morderstwo w Katyniu?”

Nie mam zamiaru odpowiadać na pytanie tego rodzaju — oświadczył lord Lawrence.

Opinię międzynarodową można porównać do wypowiedzi brytyjskiego polityka:

„Ja Was rozumiem, sprawa jest ważna i nawet ma znaczenie historyczne, ale taktyka nie pozwala jej podejmować dziś”

Dziadek niestrudzenie mówił dalej.

- Po procesie w Norymberdze zaległa cisza, którą przeszył skrzyp angielskiej gałęzi, na której zawisł Michał Łoboda vel Iwan Kriwoziercow, ostatni najważniejszy świadek największej zbrodni. I ten skrzyp zatuszowano. Jednak nie udało się uciszyć Emigracji i Polskiego Podziemia. To dzięki ich staraniom wydawano książki, broszury na temat tej jakże potwornej zbrodni. To dzięki niestrudzonej poszukiwaczom prawdy, z masy zeznań świadków, zaznaczono na mapie miejscowość Dergacze i Twer, gdzie zapewne tak samo jak w Katyniu spoczywają Polacy podstępnie zabici przez sowieckich oprawców. W Polsce powojennej próżno szukać w słownikach hasła „Katyń”, a wszystkie literackie próby kończą się odrzuceniem przez UKPPIW. Tylko semantyka zapewnia cenzuralne „zwolnienie”. Winnych nie ma, sprawa przycichła, dlatego o jedno proszę: „Boże nie pozwól zapomnieć”.

* * *

Minęło wiele lat. Dziadek umarł, z uśmiechem na twarzy, bo wiedział, że tam gdzie idzie nie będzie jego oprawców. I wiedział, że spotka przyjaciół, bo „kto tak umarł wolnym będzie”. Bóg nie pozwolił zapomnieć, wkrótce reżim ustąpił miejsca demokracji i swobodnie można publikować, zapalić lampkę na grobach Katyńskich i odwiedzić te dwie miejscowości, zaznaczone na mapie byłego ZSRR. Tam też postawiono krzyże.

Dokładnie 50 lat po dokonaniu egzekucji, w krótkim komunikacie agencji TASS Rosjanie oficjalnie przyznali się do popełnienia tej zbrodni.

Bibliografia:

1. Stanisław Swianiewicz, W cieniu Katynia, Warszawa, 1990.
2. Jerzy Łojek, Dzieje sprawy Katynia, Białystok, 1989.
3. Andrzej Szcześniak, Katyń – relacje, wspomnienia, publicystyka, Warszawa, 1989.
4. Andrzej Szcześniak, Katyń – tło historyczne, fakty, dokumenty, Warszawa, 1989.
5. Janusz Kazimierz Zawodny, Katyń – co mówią dokumenty, Warszawa, 1989.
6. Katyń – wybór publicystyki 1943-1988 i «Lista Katyńska», Londyn, 1988.
7. Waldemar Łysiak, Lepszy, Warszawa, 1990.